



WITOLD FILLER

**Teorie i praktyki
paryskiej
„KULTURY“**

Okladkę projektował
MIECZYSLAW WISNIEWSKI

Redaktor
JAN ZMUDA

Redaktor techniczny
HELENA MALCZEWSKA

Cztery tysiące czterysta trzynasta
publikacja Wydawnictwa MON

Printed in Poland

Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej
Warszawa 1968. Wydanie I

Nakład: 15 000+307 egz. Objętość 3.12 ark. wyd.,
2,875 ark. druk. Papier: druk mat.: IV kl., 65 g,
format: 76x90/32 z Fabryki Celulozy i Papieru
im. J. Dąbrowskiego w Kluczach. Zam. nr 10398
z dnia 25.X.1968 r. Wojskowe Zakłady Graficzne
w Warszawie.

Cena zł 5.—

N-28

„O tym-że dumać na paryskim bruku
Przynosząc z młasta uszy pełne stuku
Przekleństw i kłamstwa, niewczesnych
zamiarów,
Za późnych żalów, potępieńczych
swarów!
(Adam Mickiewicz,
„Pan Tadeusz”)

W przemówieniu, jakie na spotkaniu z akty-
wem partyjnym Warszawy wygłosił dnia
19 marca 1968 roku Władysław Gomułka, zna-
lazł się dłuższy fragment poświęcony publicy-
styce Juliusza Mieroszewskiego. Nazwisko obco
brzmi dla czytelników prasy krajowej, bo też
Mieroszewski, choć pisze po polsku i do Pola-
ków, nie w Polsce ogłasza swoje szkice. Ten
„przysięgły Europejczyk” i poplecznik aliansu
Polski z Niemiecką Republiką Federalną („tyl-
ko pełne porozumienie polsko-niemieckie przy-
wróci równowagę polityczną w tej części kon-
tynentu”) jest czołowym komentatorem pisma,
które od roku 1947 ukazuje się w Paryżu. Ty-
tuł pisma — „Kultura”, nakład nieujawniony
(wg nieoficjalnych danych — 4000 egz., z czego
ok. 1500 egz. przerzuca się nielegalnie do kra-
ju), wydawcą *de nomine* jest Institut Litteraire
(91, avenue de Poissy, Maisons-Laffitte), roz-
wijający również ożywioną działalność edytor-

ską, redagując m. in. serie „Archiwum Rewolucji” i „Zeszyty Historyczne”, w których opublikowano *Nową klasę wyzyskiwaczy* Dżilasa, *Byłem agentem Stalina* Krywickiego, *Klub Krzywego Koła* Jedlickiego, a ostatnio memoriał Kuronia i Modzelewskiego oraz wybór z prac rewizjonistów czechosłowackich. Od 21 lat kilkudziesięcioosobowy zespół, którym kieruje Jerzy Giedroyc, prowadzi przeciw socjalistycznej Polsce systematyczną akcję, którą tow. Wiesław scharakteryzował jako „bardziej (w porównaniu z pismami londyńskiej emigracji — W.F.) perfidną i bardziej dostosowaną do realnego układu sił”. Z oceny tej sama „Kultura” zdążyła już sobie wystylizować laurkę. Pisał Leopold Tyrmand: „Wpływy »Kultury« są w Polsce znaczne. Przyznał to Gomułka, życie potwierdza to na każdym kroku. »Kultura« jest już dziś synonimem pewnej filozofii politycznej, a zatem rodzi postawy ideowe i moralne, zaś następnie wzory zachowania i postępowania” („Kultura” nr 247/1968). Pózo-stawmy na razie bez komentarza pierwszą część samozachwyków autora *Złego*, dość zresztą paradoksalnie tu awansowanego do rangi rzeczoznawcy postaw moralnych Polaków. Ostatnie zdanie Tyrmanda zawiera przecież sporo racji. Paryska „Kultura” jest dziś synonimem pewnej filozofii politycznej. I gatunek tej filozofii zasługuje na uwagę, jak również wywodzące się z niej „postawy ideowe i moralne” oraz zalecane przez nią „wzory

zachowania”. Stanowią one wymowną ilustrację działania najbardziej dynamicznych kół dywersji ideologicznej Zachodu. Działania na rzecz waszyngtońskiej idei „papierowych mostów”, na rzecz „rozmiękczenia” umysłów i doktryn, wprowadzania do obiegu „nowych” pojęć politycznych oraz rewidowania pojęć starych, jeśli socjalistyczne. Sumarycznym wykładnikiem tej działalności jest stawka na osłabienie społecznej atrakcyjności światopoglądu marksistowskiego w naszej ojczyźnie.

Rezonans, jaki poszczególnym publikacjom „Kultury” usiłuje nadać radio „Wolna Europa” (RWE) dowodzi, że w walce z Polską Ludową wyrobiła sobie ona pozycję szczególną. Tak szczególną, że niejednokrotnie może sobie pozwolić na luksus propozycji niespójnych z oficjalnym kursem tejże RWE, choć po pewnym czasie ta rzekoma suwerenność okazuje się po prostu wyższym stopniem perfidii. Nie jest bowiem „Kultura” trybuną myśli własnej, oryginalny jest tu jedynie sztafaż. Wszystko, co piszą Mieroszewski, Jeleński, Stempowski stanowi zaledwie próbę tłumaczenia znanych koncepcji Rostowa, Griffith’a, Brzezińskiego na język polskich skojarzeń, podświadomych przyzwyczajęń narodowych, polskiej aforystyki i polskiego dowcipu. A że tłumaczenie bywa częstokroć chwytnie, stąd i ów stopień perfidii wyższy niż w obliczanych na doraźną agitację komentarzach „Wolnej Europy”.

Niniejsza publikacja stanowić ma próbę pre-

zentacji i oceny filozofii politycznej „Kultury”, sprowadzając ją do kilku jej tez sztandarowych, wokół których kłębi się wir ubocznych myśli, pomysłów i objawień. *Notabene* ta obudowa spełniać ma również określony cel psychologiczny, poprzez stwarzanie pozoru swobodnej gry sił i demokratycznego przetargu propozycji. Wir ten przecież z dziwnym uporem wydobywa na plan pierwszy stale te same tezy naczelne. Są to: wspomniana już tu idea „dogadania się” z NRF oraz pochwała „ewolucjonizmu” jako postawy, która ma Polskę ewoluować z socjalizmu ku „demokracji”.

Zaznaczamy wreszcie z góry, iż nasza próba oceny nie wolna będzie również od akcentów polemiki; w wielu przecież wypadkach sam już beznamiętny rejestr faktów wyznaczy strategom z Maisons-Laffitte właściwe miejsce, zarówno w kategoriach myślenia politycznego, jak po prostu w kategoriach zwyczajnej polskości.

WPROWADZENIE

„Kultura” — to pismo całkowicie w swych kampaniach politycznych nacelowane na Kraj; ale jest to pismo, którego większość czytelników żyje na emigracji. Uchwycenie tej dwoistości ma zasadnicze znaczenie dla rozszyfrowania meandrów praktycznej działalności paryskiego miesięcznika. Nie można bowiem przy użyciu tych samych słów realizować dwóch (częstokroć niejednorodnych) taktyk politycznych. „Kultura” atakuje socjalizm w Polsce, ale chcąc zapewnić sobie maksymalną skuteczność ataku, musi stosować liczne zwody werbalne, gry w aluzje, dymne zasłony z dwuznacznych komplementów. Te z kolei muszą powodować pewne zamięcanie obrazu i rozchwianie kryteriów u przeciętnego czytelnika emigracyjnego, którego lektura „Kultury” jest przecież lekturą *à la lettre*: bez dopuszczenia świadomości, że uczestniczy on na prawach kibica w skomplikowanym manewrze politycznym. Zbieg sprzeczności dla redaktorów „Kultury” — kłopotliwy, dla autora i czytelników tej

publikacji — korzystny, gdyż jakże często zza szczelin owych sprzeczności wyłania się prawdziwe oblicze pisma.

Tak jest dziś, w roku 1968. Jak to się stało, że spośród periodyków emigracyjnych, z których wiele nosi sławne tytuły (np. „Wiadomości” Grydzewskiego, „Robotnik” Ciołkosza), właśnie „Kultura” dopracowała się tej pozycji szczególnej, że właśnie jest synonimem filozofii zdrady? By na powyższe pytanie — choćby pobieżnie — odpowiedzieć, niezbędna jest wycieczka w niedawną przeszłość, kiedy wraz z zakończeniem II wojny światowej narodziło się zjawisko, określone umownym mianem emigracji londyńskiej. Od roku 1945 przytłaczająca większość tej emigracji nastawiona była antykomunistycznie, choć antykomunizm ten cechowała bierność. Demonstrował się głównie w samej decyzji niewracania do Polski, a na praktyczną motywację tej decyzji składały się w znacznym stopniu raczej emocjonalne. Przykładów na poparcie takiej hipotezy jest wiele. Pomińmy enuncjacje publicystyczne z owego okresu, choć tu sam ich styl emfacyjny byłby już argumentem, a wybierzmy jako dowód powieść prozaika emigracyjnego, Mariana Czuchnowskiego, pt. *Czarna koronka*, ten właśnie okres opisującą. Bohater powieści, por. Andrzej Morzysarna — postać niewątpliwie reprezentatywna dla młodej inteligencji emigracyjnej — odrzuca myśl o repatriacji po wysłuchaniu następującego wykładu:

„Kto pana zaprosił do kraju? (...) Że gwarantują przebaczenie? Ale co panu przebaczą? Komunistą pan nie był, w Berezie pan nie siedział, nie spalili pana Niemcy w Oświęcimiu, nie splamił się pan nawet najdrobniejszym śladem politycznego myślenia, w żadnym więzieniu nie spędził pan pół dnia, był pan lojalny wobec każdej władzy, więc co, do diabła, panu przebaczą?!” (*Czarna koronka*, Londyn 1966, s. 276). I to wystarcza. Argumenty nie przekraczają progu uczuciowej demagogii, raczej intelektualne okazują się zbędne wobec temperatury serc. Andrzeja Morzysarny i innych „czekanie na białego konia” było więc decyzją bytową, sztandarem patriotycznym i programem politycznym zarazem. Że był to program bez praktycznych perspektyw, skłonny jest przyznać nawet czołowy ideolog londyńskich „Wiadomości”, Tymon Terlecki. Jakże bowiem inaczej interpretować jego słowa: „Emigracja jest z istoty swojej romantyczna, idealistyczna. Emigracja sięga poza istniejącą rzeczywistość, aspiruje do rzeczywistości innej. Odporna na pokusy łatwizny, zdolna do przewycięzania lęku, solidarna — solidarnością wyznawców — taka emigracja i tylko taka zdolna jest spełniać swoje zadania” („Wiadomości” nr 64/1947). A zadaniem było przetrwać i tylko przetrwać. W pierwszych latach powojennych ten kapitał gorzkich emocji procentował wystarczająco dla ówczesnej strategii politycznej Zachodu. Odżył się poprzez sam fakt liczebności emigra-

cji. Bierny protest miliona ludzi stanowił dostatecznie efektowny argument we wstępnej grze propagandowej: ekscytował wyobraźnię przeciętnych obywateli Stanów Zjednoczonych, Francji, Anglii, Kanady. Nie należy zaś zapominać, że w tych latach propaganda imperialistyczna nastawiona była w pierwszym rzędzie na pospieszną reedukację własnych obywateli, którym należało wytłumaczyć, iż wczorajszy sojusznik ze Wschodu okazał się zdračliwym spadkobiercą wczorajszego wroga. Kiedy o zakończeniu procesu reedukacji obwieściły salwy artyleryjskie na froncie Korei, w sferze dywersji ideologicznej Zachodu zanosilo się już na nowy etap: bezpośredniej penetracji politycznej wśród społeczeństw krajów socjalistycznych, m. in. Polski. Założenia tego nowego etapu miał skonkretyzować John F. Kennedy: „Nie ma sensu zajmować się dyskusjami o zmasowanym odwecie, w ten sposób umacniamy jedynie czerwony blok. Obecnie należy szukać metod zdeintegrowania tego bloku” (*The Strategy of Peace*, New York 1960). I tu przydatność londyńskiej emigracji okazała się znikoma. Deklaracje kombatanckich wieców, wstępniki w „Orle Białym” miały oczywiście wymowę jednoznaczną, ale ich ofensywna skuteczność była raczej iluzoryczna. Kraj odgrodził się od nich murem wzgardliwego milczenia, szansa na przerzucenie „papierowych mostów” nie istniała. Co więcej, polski Londyn nie okazał zainteresowania wobec nowych form ak-

tywności, do jakiej rada go była namówić CIA. Swą polityczną obecność zaznaczał na deptaku przed Brompton Oratory i na procesjach u O.O. Ksawerianów: postawa logiczna wypływająca z decyzji *anno domini* 1945. Jakikolwiek uczestniczenie (nawet na prawach dywersji ideowej) w grze sił politycznych w Kraju mogło bowiem grozić zarzutem odstąpienia od najwyższego kryterium: „aspiracji do rzeczywistości innej”, oznaczałoby pośrednie uznanie socjalistycznego statusu Polski. Jeszcze w roku 1958 (czyli w dwa lata po Październiku!) pisał w „Wiadomościach” Adam Pragier, że każda próba włączenia się do spraw krajowych, „ograniczona do poprawiania komunizmu grozi przeobrażeniem się sprawy Polski za naszym własnym przyzwoleniem w wewnętrzną sprawę bloku sowieckiego” („Wiadomości”, nr 660/1958).

Brak miejsca nie pozwala na szersze udokumentowanie tego zjawiska, które Cat-Mackiewicz określił zjadliwym mianem „emigranckiego snu o propagandzie, wywodzącego się z tych samych mesjanistycznych źródeł, z tych samych fałszywych urojeń, ze złud co do rzeczywistych sprężyn rządzących polityką świata”. (*Londyniszczce*, Warszawa 1957, s. 108). Koła opiniotwórcze londyńskiej emigracji stale nie chciały bowiem dopuścić do swej świadomości myśli o nieodwracalności zmian, jakie przyniósł Europie rok 1945. Aby sztucznie wspierać mit dawnego układu sił, we wszystkich swych

rozumowaniach operowano pojęciami *ancient regime'u*. Jako znamienny przykład podajmy praktyczną nieobecność tematyki krajowej w twórczości pisarzy „londyńskich”, choćby w wersjach satyrycznych, paszkwilanckich, propagandowo-użytkowych; za to istny zalew wspomnień z kresowych dworów! Nawet ceniący tylko konkrety Czesław Miłosz musiał spłacić tej modzie daninę swoją *Doliną Issy*.

I w tym właśnie momencie — są to lata pięćdziesiąte — zaczyna się wielka kariera paryskiej „Kultury”. Jej kariera mała datuje się od roku 1946, kiedy to pod protektorem szefa sztabu 2 Korpusu Polskich Sił Zbrojnych, gen. Kazimierza Wiśniowskiego (oraz dzięki wysokiej dotacji tzw. Funduszu Społecznego tegoż korpusu), powstał w Rzymie Instytut Literacki — *Casa Editorica Lettere*. W lipcu roku 1947 zszedł z maszyn rzymskiej drukarni Oggi pierwszy numer miesięcznika społeczno-literackiego „Kultura”, który firmowało trzech ludzi: Jerzy Giedroyc, Józef Czapski, Gustaw Herling-Grudziński. Wszyscy trzej wywodzili się ze sfer ziemiańskich, choć ostatniemu tytuł ten przysługiwał nieco na wyrost: majątek Skrzaleszyce w woj. kieleckim wszedł w posiadanie rodziny Herlingów stosunkowo niedawno, na fali modnej wśród żydowskiej plutokracji zabawy w dziedziców. Wszyscy trzej przeżyli wojnę w szeregach 2 Korpusu, choć i tu ich losy kształtowały się nieco odmiennie. Czapski

i Herling-Grudziński po klęsce wrześniowej znaleźli się w ZSRR, skąd Czapski awansował na szefa Oddziału Propagandy 2 Korpusu, a Herling-Grudziński pozostał w służbie liniowej. Giedroyc miał życiorys najbujniejszy: urzędnik Ambasady RP w Bukareszcie (tam oskarżony o sprzedaż paszportów dyplomatycznych po paskarskich cenach Polakom uciekającym przez Rumunię na Zachód), naczelnik wydziału w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych Rządu RP we Francji (stanowiska tego nie objął, gdyż obawiając się aresztowania za aferę bukareszteńską wyjechał do Palestyny), ekspedient w kantynie żołnierskiej w Brygadzie Karpackiej, oficer w Oddziale Prasy 2 Korpusu. Oto sylwetki twórców. Wydaje się, że początki ich dzieła ocenić można po prostu jako prozaiczną chęć zabezpieczenia własnej egzystencji w chaosie pierwszych miesięcy pokoju. Nie był to *notabene* pomysł unikalny. Bezpośrednio po wojnie ukazywało się na Zachodzie kilkaset (!) gazet i pism polskich (m. in. „Polska Wierna” w Paryżu, „Na szlaku Kresowej” we Włoszech, „Nasza Emigracja” w Regensburgu, „Nowiny Polskie” w Salzburgu, „Wolna Polska” w Lyonie, „Kronika” we Frankfurcie), których zapleczem były z reguły zgrupowania ex-żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych, tzw. Oddziały Wartownicze etc. Tyle, że gdy większość tych efemeryd kończyła żywot po kilku czy kilkunastu numerach, „Kulturze” udało się przetrwać. W październiku 1947 roku

przenosi się Instytut Literacki z Rzymu do podparyskiego osiedla Maisons-Laffitte.

Okres 1947—1953 przeżywa „Kultura” na drugim planie życia emigracyjnego: centrum to Londyn. Sny o dworach, pole bitwy o fikcyjny rząd dusz, swarliwe piekielko, w którym wycenia się wzajemne grzechy z przedwczoraj. Anders, Raczkiewicz, Zaleski, Mackiewicz, Rowmund Piłsudski, Ciołkosz, Wasiutyński, Wańkowicz, Terlecki, Zaremba — „Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza”, „Orzeł Biały”, satyryczne „Pokrzywy”, egzaltowany „Lwów i Wilno” oraz „Wiadomości”. Ostatnie z wymienionych scharakteryzował trafnie Witold Gombrowicz, a ocenę londyńskiego pisma można chyba przenieść na cały polski Londyn: „Kapliczka, muzeum, stowarzyszenie wzajemnej adoracji, katalog, album zasuszonych pamiątek, cmentarz, herbarz, kącik filatelistów czy też bilardzistów, anegdota, gawęda, snobizm” (*Dziennik*, Paryż 1957, s. 172).

Wiele z tej atmosfery przeniknęło i do pierwszych roczników „Kultury”. Sławoj-Składkowski drukuje tu swoje *Opowieści administracyjne czyli pamiętnik niebohaterski*, Michał Sokolnicki wspomina czasy, gdy był *W służbie Komendanta*. Rozpamiętują przeszłość dawni dyplomaci (Józef Marlewski), urzędnicy ministerialni (Kajetan Morawski), generałowie (Ludomir Rayski). Można przecież z numeru na numer zaobserwować kształtowanie się w piśmie ducha swoistej opozycji wobec Londynu. Zdaje

się on jeszcze nie wypływać z konsekwentnych przemyśleń kolektywu redakcyjnego, z prób ustalenia czegoś, co można by nazwać programem pisma. Przeczyłyby takiemu posądzeniu jawne sprzeczności w merytorycznej wymowie poszczególnych publikacji, z owego ducha opozycji poczętych. Znaleźć też bowiem można i przekorny panegiryk na cześć dalekowzroczności politycznej Becka (Michał Sokolnicki *Sprawa Józefa Becka*) i potępienie wyjątkowo sugestywne Berezny Kartuskiej (Ludwik Monigwill — *Przyczynki do Berezny*). Motorem owej opozycyjności wydaje się więc być raczej zwykły kompleks ludzi z drugiego planu, a do tego prozaiczna walka o powszechniejszą uwagę czytelnika. Redaktorów „Kultury” poczynają też drażnić bezproduktywne sny o dworach; co więcej — wyczuwają, iż sny te uśpiły również szarego emigranta. Giedroyc znajduje sposób, aby go obudzić. Była nim polemika na temat obozu karnego w Shinafoot. Do tej szkockiej miejsciny wysyłano w latach wojny oficerów 1 Korpusu, podejrzanych o brak „lojalności politycznej”. Sprawa była wstydliva, skrzętnie tajona, wmieszanych w nią było szereg eminentnych osobistości. „Kultura” przypomniała w roku 1953 historię Shinafoot, wywołując ujawnieniem sensacyjnych materiałów o obozie wielkie podniecenie wśród mas emigracyjnych oraz zalew sprzecznych wyjaśnień i kontrwyjaśnień (zabierali głos m. in. Marian Kukiel, arcybiskup Józef Gawlina, Władysław Dia-

mand). Polemika toczyła się prawie półtora roku i odbiła się szerokim echem w większości pism emigracyjnych. Podobnych fajerwerków publicystycznych miało być jeszcze kilka. „Kultura” zaczynała być pismem, o którym się mówi, z którego opinią muszą się liczyć matadorzy londyńskiej polityki. Kompleks ludzi z drugiego planu ustąpił przed szyderczą wyższością ludzi młodszych, którzy przekroczyli strefy milczenia starszyny. Na razie przekroczyli je, co prawda, tylko w planie iluzji: w grę wchodziły jedynie spory w *diasporze*. Znamienny jest ten brak istotnych sporów pomiędzy „Kulturą” a konkurentami londyńskimi o Kraj. Już choćby o weryfikację strategii, jeśli już nie o weryfikację reakcyjnego, przedwrześniowego światopoglądu. Co nie oznacza, iż z zestawu zainteresowań ówczesnej „Kultury” nie wynika pośrednio wniosek o odmienności w wycenie i hierarchizowaniu pewnych postaw społecznych. „Kultura” nie pisywała o kresowych dworkach, a co ważniejsze — w odróżnieniu od pism londyńskich — względną tylko wagę przywiązywała do opisów polskiego czynu orężnego w latach II wojny światowej. Suma tych dwóch, tak różnych, odmienności pozwala mówić o zaprogramowanej ofensywności „Kultury”, która nie chciała swej siły ataku obciążać bagażem spraw wczorajszych. Jakichkolwiek, nawet tych, co mogły stanowić powód do chluby. Chociaż tu potrzebna znamienna korekta. Na łamach „Kultury” toczyły się dwie wielkie

dyskusje na tematy okupacyjne: obie dotyczyły przecież nie militarnego, lecz ideowego aspektu niedawnej przeszłości. Pierwszą zainicjował artykuł Stefana Korbońskiego *Pierwsze władze Polski Podziemnej* (1949), drugą artykuł Stefana Żochowskiego *Narodowe Siły Zbrojne* (1950). I znów łączy dwie dyskusje klimat finalnych wniosków: ofensywność „Kultury” miała być coraz bardziej antykomunistyczna.

Wszystko to razem miało również przynieść pismu skutki prozaiczne. Pomagało w zdobyciu czytelników. I w zdobyciu autorów... W początku lat pięćdziesiątych systematycznie rozszerza się lista nazwisk współpracowników „Kultury”. Są wśród nich ludzie z różnych pokoleń, z odległych ośrodków geograficznych. Publicyści: Gustaw Herling-Grudziński, Juliusz Mieroszewski, Konstanty Jeleński, Jerzy Stempowski-Hostowiec, Zbigniew Jordan, Kazimierz Okulicz, Wacław A. Zbyszewski, Władysław Kozłowski, Aleksander Hertz, Juliusz Horzelski; prozaicy — Witold Gombrowicz, Tadeusz Nowakowski, Józef i Maria Czapscy, Józef Mackiewicz, Andrzej Bobkowski, Czesław Straszewski; poeci — Kazimierz Wierzyński, Józef Łobodowski, Józef Wittlin, Jan Brzękowski, Tadeusz Sułkowski, Jerzy Pietrkiewicz, Wacław Iwaniuk, Jan Winczakiewicz.

Sporadycznie pojawiały się na łamach „Kultury” nazwiska Marii Kuncewiczowej, Wacława Lednickiego, Władysława Pobóg-Malinow-

skiego, Kazimierza Iranka-Osmeckiego, Stanisława Vincenza, Aleksandra Janty, Alfreda Zaubermana, Ryszarda Wragi, Melchiora Wańkowicza, Stanisława Cat-Mackiewicza, Aleksandra Kawałkowskiego i innych.

Wielu z tych ludzi traktowało „Kulturę” jedynie jako miejsce druku, nie wdając się w analizowanie materiałów, z którymi ich teksty będą sąsiadować. Taką postawę zdawał się początkowo zajmować przede wszystkim Witold Gombrowicz, którego od środowiska londyńskich wspominkarzy odręczał jego zmysł ironii. Olimpijski spokój cechował szkice sędziwego Wittlina (w wydany przez paryski Instytut Literacki jego tomie pt. *Orfeusz w piekle XX wieku* miał się również znaleźć serdeczny rozdział o komunistycznym poecie, Witoldzie Wandurskim) oraz Kuncewiczowej, przemysłowającej już zapewne o kontaktach z Krajem. Młodzi poeci z londyńskiej grupy „Kontynentów” (Śmieja, Taborski, Sito, Ihnatowicz) współpracowali z kolei z „Kulturą” tak długo, dopóki nie zorientowali się we właściwym obliczu politycznym pisma. Podobna różnorodność autorских nazwisk i niejednorodność autorskich stanowisk dodawała „Kulturze” barwności, ekscytowała wyobraźnię czytelników, na krystalizowanie się generalnej linii pisma nie wywarła przecież zasadniczego wpływu. Ta pozostawała wewnętrzna sprawa kilku zaledwie osób: Giedroycia, Herling-Grudzińskiego, Mieroszewskiego, Stempowskiego, Jeleńskiego. W roku

1951 dopisuje się do tej listy, zdradzając kraj, ówczesny radca Ambasady PRL w Paryżu, poeta i eseista, Czesław Miłosz. Twórczość publicystyczna Miłosza na łamach „Kultury” stanowi dodatkowo dowód, że w sprawie kluczowej przy jakiegokolwiek ocenie politycznej środowisk emigracyjnych, tj. w sprawie stosunku do Polski Ludowej, nie istniały w owych latach zasadnicze sprzeczności pomiędzy grupą „Kultury” a ortodoksami z Londynu. I tu i tam był to stosunek zdecydowanie krytyczny, negatywny, wrogi. Natomiast jedynie poglądy Miłosza się wyróżniały: zawierał się w nich załączek koncepcji **politycznego działania**.

Przed wszystkim więc Miłosz postulował rewizję samego pojęcia polskości, w jej tradycyjnym rozumieniu widząc przeszkodę przy praktycznym dopracowywaniu się kształtu Polski jutra. Nie ukrywał też swej pogardy dla ludzi, których raz mieni: „polonocentrystami” (*Człowiek wśród skorpionów*), raz — „wyznawcami idei Narodu” (*Rodzinną Europą*). Personalne przykłady owych postaw wymieniał najchętniej w czasie zaprzeszyłym, podkreślając, że właśnie mitotwórstwu „wyznawców” zawdzięcza Polska swój brak trwalszej stabilizacji w przebiegu dziejów. Szczególnie ostro atakował me-sjanizm jako „robiący wrażenie nieartykułowanego bełkotu, który wpajając mylne poglądy na historię, sprowadzoną do zderzeń demonizmu z anielstwem, sprzyjał nałogom dla każdej zdrowości szkodliwym. Błogosławieństwo nie-

bios zastępować miało dotykalne i możliwe do przewidzenia następstwo czynów” (*Człowiek wśród skorpionów*, Paryż 1962, s. 109). Pogląd morderczy dla londyńczyków, którzy z mickiewiczowskiego mesjanizmu uczynili sobie sztandar, hasło swej idei przetrwania. A zarazem pogląd, który prowokował do dalszego ustalenia — i „czynów”, i „następstw”. Odrzucając „polonocentryzm”, głosił tu Miłosz ideę paneuropeizmu. Miał to być do tego paneuropeizm wojujący: przeciwnik był na wschodzie. Do ludzi radzieckich żywi Miłosz już nie niechęć, a pogardę, której nie skrywa nawet, gdy w grę wchodzi drobne realia czy sposób bycia. Do rangi symbolu urasta „odstawiony, na znak dobrych manier, mały palec u sowieckiego oficera, rodem z Tyflisu, kiedy pije herbatę” (*Rodzinna Europa*, Paryż 1959, str. 9). Pogarda jest jedyną według Miłosza formą obrony Europejczyka przed agresywną obcością, którą Wschód ziele ku Europie. Obcością, która jest nie do usunięcia, wynika bowiem z samej istoty zjawiska. „Rewolucjoniści rosyjscy, marząc o *tabula rasa*, kłamali samym sobie. Usadowiwszy swych wodzów na Kremlu, mogli budować z tego tylko materiału ludzi, przyzwyczajęń, obyczajów, jaki znaleźli pod ręką, a co gorsze sami byli materiałem ulepionym przez ducha ich ziemi” (*ibid.*).

Paneuropa, oddzielona przepaścią od Kraju Rad, to było przecież dopiero „następstwo”. Jaki czyn miał ją przybliżyć? Będąc bardziej ego-

centrykiem niż człowiekiem społecznym, bardziej poetą niż politykiem — Miłosz czynów z imienia nie nazywał. Zwrócił przecież uwagę emigracyjnych polityków na marksizm jako instrument, przeobrażenie którego może pociągnąć za sobą praktyczne konsekwencje społeczne. W zaciszu londyńskich dworków marksizm był raczej słowem niż pojęciem. Ironizował Gombrowicz, że „nasi myśliciele nie sprostali by tu egzaminowi studenta na II roku filozofii w kraju” (*op. cit.*, str. 193).

W rozważaniach Miłosza marksizm obecny był stale. Jest to obecność szczególna. Widać, że byt interesuje Miłosza jedynie jako jeden ze sposobów kształtowania myśli, a dialektyka bliższa mu jest niż materializm: „Od wczesnej młodości pociągali mnie marksiści, bo odgadywałem w nich coś żywego, wzmacniającego. Zarazem odpychali mnie przez swoje doktrynerstwo” (*Rodzinna Europa*, str. 220). Ten kierunek przeciwstawień *pointe’uje* niezmiennie wszystkie sytuacje, w których Miłosz wspomina ideologię, obowiązującą w jego byłej ojczyźnie. Poświęcając np. w *Rodzinnej Europie* cały rozdział osobie prof. Tadeusza Krońskiego, będzie się starał wpoić w czytelnika przekonanie, że naukowa wartość dorobku Krońskiego rozpoczynała się w momencie narastania u uczonego wątpliwości wobec samej istoty marksizmu. W *Człowieku wśród skorpionów* zjawi się z kolei sympatyczna próba przeciwstawienia sobie dzieł starego i młodego Marksa, prowadząca do

finalnego wniosku o antynomii człowieka i natury... Obie wspomniane tu książki pochodzą *notabene* z lat późniejszych. Ale pamfletem na marksizm i marksistów był już przede wszystkim wydany w roku 1951 *Umysł zniewolony* — ironiczny podręcznik indoktrynacji, którą Miłosz uznał za produkt Wschodu, ale którą żarliwie zalecał swojej Europie.

Miłosz był więc tym, który podpowiedział „Kulturze” myśl, że hasło rewidowania marksizmu może stać się formułą działania. Polski Londyn hasłem wzgardził, tym większa była okazja, by „Kultura” zyskała osobowość własną, by jej ofensywność zdobyła sobie ujęcie, zdobyła program. W zaraniu lat pięćdziesiątych program ów miał co prawda podstawową wadę: nie było komu nim służyć. Zimnowojennym sloganom Stanów Zjednoczonych o „żelaznej kurtynie”, która miała szczerze odgradzać Zachód od socjalizmu, odpowiadała raczej ortodoksja „Wiadomości” i „Orla Białego”. Aż okazało się wreszcie, że kolumbowy trud Miłosza nie jest daremny. Jego Amerykę odkryli w końcu sami Amerykanie.

W wydanej w roku 1953 książce *Powstrzymanie czy wyzwolenie* pisał James Burnham: „Można uważać za bezsporne, że strategia, która miałaby swe ognisko geopolityczne w Europie Wschodniej byłaby dla celów Stanów Zjednoczonych najkorzystniejsza (...) Zastosowanie tej strategii oznacza użycie sił antyradzieckich wewnątrz bazy przeciwnika, poza jego liniami,

poza jego frontem. Nacisk zastosowany wewnątrz głównej bazy komunistycznej, nawet na jej zewnętrznych odcinkach, wywołuje największy efekt, bo im bliżej mózgu tym większy skutek uderzenia. Nawet niewielkie wydarzenie wewnątrz bazy może zmusić przeciwnika do wycofania sił z większej kampanii zewnętrznej (...) Akcja wewnętrzna na wielką skalę może przeciwnika obalić, to znaczy zlikwidować ustrój radziecki w sposób najbardziej skuteczny, a przy tym stosunkowo tani”. Z wszystkiego tego, co powyżej, nie należy wysnuwać wniosków, jakoby Czesław Miłosz był tym, kto wymyślił nową doktrynę dywersyjną dla Stanów Zjednoczonych. Za jej ojca trudno uznać również Jamesa Burnhama, którego książka zbiegła się z pracami innych sowietologów: Griffith’a, Rostowa, Bromke, a wszyscy oni działali po prostu na zamówienie określonych kół finansjery amerykańskiej. Sargent Shriver zamknął istotę tego zamówienia w eleganckiej formule: „Wobec narodów znajdujących się pod komunizmem możemy wykorzystać siłę nowych idei filozoficznych i kulturalnych, aby poprzez pokojowe przeobrażenia wewnątrz komunistycznego imperium” (*Point of the Lance* New York 1964). Więc nie dla Stanów Zjednoczonych był Miłosz suflerem. Ale swoje spostrzeżenie podsuflował on grupie polskich emigrantów, skupionych wokół „Kultury” — sprawił, iż właśnie to pismo stało się najbardziej gotowe do propagowania nowych doktryn,

wówczas gdy nowy układ sił w świecie kazał Stanom Zjednoczonym te nowe doktryny zastosować w wojnie psychologicznej, skierowanej przeciw społeczeństwom krajów socjalistycznych.

W roku 1955 redakcja „Kultury” nabyła w Maisons-Laffitte dom, gdzie poza wydawnictwem mieścić się będzie biblioteka i galeria obrazów. Do tych dóbr materialnych dochodzi ona w sytuacji, kiedy na wydanie tomu *Poezji zebranych* Kazimierza Wierzyńskiego złożyć się musi kilka tysięcy subskrybentów. Dochodzi w sytuacji, kiedy reprezentujące podobne do niej „zainteresowania” marksizmem pisma Europy („Der Monat”, „Encounter”, „Preuves”, „Tempo Presente”, „Nouvelle Revue Française”) nie tają specjalnie faktu, iż są subsydiowane przez tzw. Kongres Wolności Kultury. Pozostawmy domyślności czytelnika odpowiedź na pytanie, kto subsydiuje z kolei ów Kongres, we władzach którego znajdują się znani renegaci ruchu robotniczego (Artur Koestler, Ignazio Silone), znani reprezentanci filozofii wojującego imperializmu (James Burnham), a także członek kolegium „Kultury”, Konstanty Jeleński.

EUROPA ZJEDNOCZONA CZYLI KWESTIA DWU SĄSIEDZTW

Był październik roku 1956. W imieniu zespołu „Kultury” wołał Juliusz Mieroszewski: „Dajemy kredyt zaufania Władysławowi Gomułce. Ufamy, że jego celem jest pełne uniezależnienie Polski od Rosji. Ufamy, że z udzielonego mu poparcia przez naród polski wyciągnie konsekwencje i, chcąc się oprzeć na niekomunistach, da im głos” (*Dokumenty*, zesz. II 1957). Znamienne, że od sformułowań Mieroszewskiego odcięli się od razu publicyści londyńskich gazet: „Robotnika”, „Dziennika Polskiego i Dziennika Żołnierza”, „Orla Białego”. W tym ostatnim pisał Ryszard Piestrzyński: „To co się stało w Polsce nie oznacza odzyskania niepodległości (...) Na to, by powstał inny, na sprawiedliwości oparty układ międzynarodowy w świecie, nie wystarczą najbardziej bohaterские zmagania Polaków ani Węgrów. Cały wolny świat musi zdobyć się na rzeczywisty, uparty wysiłek zmierzający do zmiany tego, co zagraża nie tylko Polakom i Węgom” („Orzeł Biały” nr 74/1956). Wymowa wezwań Piestrzyńskiego niedwuznaczna, tak jak niedwu-

znaczny jest morał z zestawienia obu powyższych tekstów. Ludzie, którym emocje zastępowały myślenie, wzywali na ratunek wojnę; ludzie, którzy wiedzieli, że dyrektywą chwili jest „rozmieszczenie” sił wewnątrz bazy przeciwnika, zabiegali o budowę przyczółków w Kraju dla samych siebie i swoich idei. Jak się miało przecież okazać, ich diagnoza przeobrażeń październikowych była całkowicie mylna. Proces odnowy Partii nie osłabił braterskich więzi, łączących socjalistyczną Polskę z Krajem Rad. Przeciwnie, więzy te wzmocnił. Ale już samo wspomnienie tamtego, październikowego gestu wystarczyło „Kulturze” dla ugruntowania sobie w pewnych kręgach Londynu i Krakowskiego Przedmieścia opinii organu realistów dążących do prób dialogu z Krajem.

Zakrawa na paradoks, a przecież jest prawda, iż pierwszym wnioskiem, jaki Juliusz Mieroszewski wysnuł dla siebie z październikowej lekcji, było stwierdzenie, że „Gomułka ambicji związanych z polityką zagraniczną nie ma żadnych” („Kultura” nr 128/1958). Stąd natomiast seria „własnych” propozycji, prowadzących do ewokowania nowego układu sił w Europie Wschodniej. Wydaje się bezcelowym referowanie wszystkich tez, z jakimi w latach 1956—1968 występowali w tej kwestii publicyści „Kultury”. Są wśród nich tezy humorystyczne. („Gdybym był polskim komunistą — pisał tenże Mieroszewski — starałbym się Ro-

sjan pozyskać dla koncepcji klasycznej wielopolszczyzny. Polska satelicka od pierwszego dnia swego oficjalnego istnienia powinna była mieć rząd prawicowo-ugodowy. Targowica obciążałaby wówczas «pozytywistów». Tylko w ten sposób można było uratować twarz polskiej partii komunistycznej” („Kultura” nr 187/1963). Są odgrzewane sprzed 30 lat teorie o „regionalnym wschodnioeuropejskim systemie w ramach federacji europejskiej” (Z. Jordan). Są fantastyczne już wręcz dywagacje o stworzeniu z Litwy, Białorusi i Ukrainy „wału ochronnego Polski od wschodu” (K. Okulicz). I w każdej z koncepcji jedna tylko cecha wspólna: że probierzem suwerenności Polski powinno być uniezależnienie się od Związku Radzieckiego. Oczywiście w szkicach Mieroszewskiego (gdyż w całym tym przetargu pomysłów uwypukla się rola Mieroszewskiego jako autora też wiodących, jako dyrygenta całego chóru „Kultury”) znaleźć można stwierdzenia, iż „większość społeczeństwa rozumie i uznaje potrzebę sojuszu z Rosją”. Stwierdzenia takie stanowią przecież z reguły retoryczną uwerturę do koncipowania, co też należałoby przedsięwziąć, aby przeistoczyć „status wschodnioeuropejskich państw satelickich”. Z listy tych proponowanych przedsięwzięć wybierzemy ideę, której kariera na łamach „Kultury” wydaje się szczególnie błyskotliwa: ideę Europy zfederowanej, stanowiącej naturalną przeciwwagę potencjału militarnego i ekonomicznego ZSRR.

Geneza samego pomysłu sięga jeszcze lat międzywojennych, a sprawa odżyła po roku 1945, zyskując sobie początkowo popularność, zwłaszcza w niektórych środowiskach emigrantów z Europy wschodniej.

Powolywano nawet jakieś komisje przygotowawcze (patronował im m.in. Stanisław Miłkołajczyk); w tygodniku „Jutro Polski” nawoływał Marian Piotrowski, aby „konkretnie i uzgodnione projekty w tym zakresie mogły być przedstawione do decyzji zainteresowanych narodów niezwłocznie po ich uwolnieniu”. Edward Raczyński omawiając pracę czechosłowackiego męża stanu, Huberta Ripki *A Federation of Central Europe* konstatował atoli z melancholią: „Trudnością, na którą nie pomoże zamykanie oczu ani szukanie winnych poza własnym środkowoeuropejskim gronem, jest niechęć przedstawicieli tego właśnie grona do łączenia się w ścisły związek. Wyjątek stanowią jak dotąd Polacy — i to nie wszyscy — a obok nich odłam opinii czeskiej” („Kultura” nr 79/1954). „Kultura” w przedpaździernikowym okresie swej działalności zaliczana była do pism, które idei Federacji Środkowo-wschodniej udzielały poparcia szczególnie gorącego. Zwłaszcza sam Mieroszewski. „Dla nas i dla wszystkich innych narodów, które utraciły niepodległość na skutek sowieckiego zaboru — pisał — federalizm jest podstawowym A wszelkiej akcji niepodległościowej. Możemy bowiem odzyskać i utrzymać niepodległość jedy-

nie w ramach europejskiego systemu federalnego”. („Kultura” nr 49/1951). W jego ówczesnych szkicach idea federalizmu żyje stale jakby poza zakresem dyskusji, objawia się niczym mus dziejowy, niczym metafizyczna prawidłowość, której niedopełnienie pociągnie za sobą nieuchronny kataklizm. „Jeżeli zjednoczenie świata dokonane zostanie bez europejskiej współinicjatywy, jeżeli nie będzie nosiło znamion twórczego rozwiązania — ów przyszły zjednoczony świat nie będzie naturalnym dzie dziecem i kontynuatorem zachodniej, europejskiej cywilizacji. Ów nowy zjednoczony świat powstanie wówczas nie z nas, ale... po nas” („Kultura” nr 59/1952). Jest sprawą godną szczególnego podkreślenia, że miejsce, jakie w owym zjednoczeniu europejskich państw wyznaczyli publicyści „Kultury” Polsce, nie prezentowało się zbyt ciekawie. Implikowało zależność ekonomiczną naszego kraju, jego drugorzędność w sfederowanym obozie, gdzie: „Polska powinna być państwem rolniczym... Uprzemysłowienie Polski — to postulat głównie tzw. obrony państwa. Ale dzisiaj wiemy doskonale — stwierdzał autor artykułu, Wacław A. Zbyszewski — że sami obronić się nigdy nie możemy, że na przemysł wojenny nas nie stać, że możemy oprzeć się tylko na produkcji i sprzęcie wielkich mocarstw. Więc po co te wysiłki? Tymczasem nasze rolnictwo może wydatnie zastąpić nawet drogą Argentynę, czy tym bardziej Stany jako eksporter masła, jaj,

bekonów, mięsa, drobiu, sera, warzyw i nawet zboża do wygłodzonej zachodniej Europy. W Federacji Europejskiej musimy być stanem rolniczym" („Kultura” nr 19/1949).

W początkowym wariancie — a przypomnijmy, że były to jeszcze lata zimnowojenne — Mieroszewski łączył byt Federacji Europy z protektorem ideowym Stanów Zjednoczonych. Pisał: „Przyszły system polityczny świata bez względu na jego formy organizacyjne — a więc bez względu na to, czy opierać się będzie na federacjach, czy na kombinacji federacji i wspólnot, jak brytyjski *Commonwealth* — jako całość powinien być zbudowany na nowym układzie sił, którego fundamentem musi być przewaga potencjału amerykańskiego” („Kultura” nr 57/1952). Po XX Zjeździe wprowadził przecież do swojego rozumowania element jakiegś — bliżej nieokreślonej — zgody ZSRR na federalizm środkowoeuropejski, za którą to zgodę należało odpłacić Moskwie obietnicą neutralizmu ze strony sfederowanych narodów Polski, Czechosłowacji i Węgier. Neutralizm nie przekreślał idei federalizmu, stanowił jedynie jej dopełnienie, bo w „świecie rządzonej przez coraz mniej liczny, a coraz potężniejszy koncern supermocarstw, indywidualna suwerenność państw tych wymiarów co Polska czy Czechosłowacja jest mrzonką. Pewien stopień niepodległości możemy osiągnąć tylko zbiorowo dla scalonego, sfederalizowanego obszaru” („Kultura” nr 151/1960).

Po XX Zjeździe hasło federalizmu traci zresztą pod piórem publicystów „Kultury” swą dawną ostrość; znika poprzednie emocjonalne zaangażowanie; sama idea staje się bardziej hipotetycznym wariantem rozwiązania skomplikowanych spraw Europy, niż koniecznością dziejową i politycznym objawieniem. Zmiana nie bez głębszych przyczyn: program integracji europejskiej utracił wiele ze swej dawnej atrakcyjności, przynajmniej dla Amerykanów. Miał go niezadługo przechwycić de Gaulle, ten przecież nie cieszył się w Maisons-Laffitte zbyt dużą popularnością. Ale wszystko to nie oznacza bynajmniej, że „Kultura” o federalizmie przestała pisać. Pisała, mniej żarliwie, w drugorzędnych publikacjach, ale pisała stale.

Bo właśnie ta obfitująca w różne stopnie zachwyty kariera federalizmu na łamach „Kultury” pozwala sformułować pewien wniosek ogólny, który zyskuje nieoczekiwane potwierdzenie, gdy zostanie sprawdzony na materiale dziejów innych — okresowo modnych — koncepcji tego pisma w zakresie tzw. wielkiej polityki. Cała ta zonglerka, w której jednym pościąganiem pióra zmienia się mapę Europy, spełniać ma w „Kulturze” przede wszystkim funkcję psychologicznego kamuflażu; przydzielono jej tutaj rolę efektownego tła. Ma ono odwracać uwagę czytelnika od właściwej roboty pisma, którą jest dywersja ideologiczna wewnątrz Kraju. I odwraca. Świadczy o tym fakt, że nawet poważni politycy, dziennikarze, intek-

tualiści polskiej emigracji przyzwyczaili się traktować serio kolejne pomysły Mieroszewskiego, z których żaden nie spełnia przecież podstawowego wymogu myśli politycznej, żaden nie ma oparcia w realiach. Na adres „Kultury” napływają liczne polemiki i korespondencje; jedni są „za”, drudzy — „przeciw”, trzeci proponują modyfikacje. Po rozpętaniu każdej polemicznej burzy, ekipa redakcyjna „Kultury” dyskretnie usuwa się z pola gry, która toczy się dalej siłą rozpędu, a kiedy po pewnym czasie zamiera, graczom dostarcza się nową piłkę — nowy pomysł. Raz będzie nim Federacja, raz bufor ukraińsko-białoruski. Zasadność pomysłów nie jest istotna, istotne jest, aby pomysłów było dużo, gdyż ich mnogość (nowych i odgrzewanych) sprzyja atmosferze chaosu. Ten zaś z kolei ułatwia skuteczne przeprowadzenie akcji wiodących (gdyż są i takie!). I ułatwia wycofywanie się z tych akcji, gdy spotykają się z nieprzychylną reakcją czytelników. Taką akcją wiodącą (a jak się okaże również i przykładem takiego redakcyjnego manewru odwrotu) będzie dla „Kultury” kwestia niemiecka. Nie trzeba tu chyba podkreślać wagi sprawy. I dla Polski, dla której problem stosunków z Niemiecą Republiką Federalną stanowi ważki odcinek państwowej polityki zagranicznej. I dla „Kultury”, której okoliczności zleciły misję delikatną, niewdzięczną, z jakiej — dodajmy! — wywiązuje się wyjątkowo perfidnie.

„Tylko pełne porozumienie polsko-niemieckie przywróci równowagę polityczną i gospodarczą w tej części kontynentu i uniemożliwi Rosji wygrywanie dwóch największych narodów środkowoeuropejskich jednego przeciwko drugiemu” — pisał Mieroszewski już w 1955 roku („Kultura” nr 96/1955). Praktycznego kształtu takiego porozumienia przecież nie definiował, również zakres zadań wstępnych, jakie osiągnięcie porozumienia stawia przed obywatelami NRF, pozostawał nie sprecyzowany. Na daleki plan uwagi publicysty schodzą tak ważne komponenty sprawy, jak tendencje militarystyczne Bonn, działalność ziomkostw, neokolonialistyczny ekspansjonizm gospodarczy; pojawia się jedynie werbalny postulat wykazania przez Niemców zrozumienia dla polskich żądań granicznych. Okazuje się zresztą, że posiadanie Ziem Zachodnich raczej Polaków obciąża obowiązkiem... „większej wyrozumiałości”. Czytamy u Kazimierza Okulicza: „Będąc więc *beatus possidens*, strona polska powinna dążyć do rozładowania wzajemnych z Niemcami nastrojów nieprzyjaźni i nieufności, próbując przez kontakty osobiste i dyskusje stworzyć warunki do przyszłego porozumienia na podstawie *status quo*. Niedawna przeszłość — okupacja niemiecka lat 1939—1945 — pozostawiła wprawdzie niezatarte ślady w pokoleniu, które było jej ofiarą. Ale szanując i dzieląc te uczucia, nie można dopuścić,

aby tylko one kształtowały politykę polską” („Kultura” nr 264/1964).

Powróćmy w tym momencie do wspomnianego już powyżej problemu: Odra i Nysa. To już nie uczucia i nastroje, to konkret. Obrona tej, uznanej układami poczdamskimi i układem w Zgorzelcu, linii granicznej stanowi kamień węgielny polskiej państwowości. „Kultura” ten punkt widzenia zdaje się pozornie podzielać. „Powiedzmy Niemcom z całą otwartością i szczerością — pisał Mieroszewski — że choć ziemie nad Odrą i Nysą dostaliśmy z rąk Stalina, dziś ziemie te przez 99,9% Polaków uważane są za integralną część Polski. Każdej Polski (...) I to jest fakt, z którym każdy polityk, czy to polski czy niemiecki musi się liczyć” („Kultura” nr 78/1954). W deklaracji tej — tak z pozoru jednoznacznej — zastanawiają przecież pewne cienkości sformułowań. Więc najpierw ów ułamek procentu Polaków, którzy Ziemi Zachodnich za integralną część Polski nie uważają. A potem dyskretnie zaznaczenie, że jednak z wolą większości musi się liczyć „każdy polityk” — również „każdy polityk polski”. Czyżby Mieroszewski sam wliczał siebie do owego ułamka nieprzekonanych, ale jako polityk ustępował przed opinią mas? Taki pogląd miał ponoć wyrazić w prywatnej rozmowie von Polzow, przywódca Ziomkostwa Prus Wschodnich, z którym Mieroszewskiego łączyły osobiste kontakty. Takie wnioski zdają się również płynąć z lektury *Listu otwartego do nie-*

mieckiego przyjaciela, jaki ogłosił w tygodniku „Die Gegenwart” (20.X.1956) drugi z publicystów „Kultury”, Jerzy Stempowski. W dokumencie tym, stanowiącym swoiste podsumowanie konferencji, która się właśnie zakończyła w Tübingen, a w której brali udział reprezentanci „Kultury” i zachodnioniemieckich naukowców, Stempowski wotował za szybkim porozumieniem obu stron, z odłożeniem do późniejszej dyskusji spraw spornych (?). Artykuł Stempowskiego ogłoszony był przecież dość dawno, rozmowy Mieroszewskiego z von Polzowem są ich sprawą prywatną. A samo zagadnienie stosunku pisma polskiej emigracji do linii Odra—Nysa jest zbyt poważne, by analizować je tylko na takim materiale. Sięgnijmy zatem znów do cytatu. W dziesięć lat po swej pierwszej deklaracji w sprawie Odry i Nysy tenże Juliusz Mieroszewski pisał: „Niezmienne nam zależy na uznaniu tej granicy, lecz nie za każdą cenę. Jeśli uznanie granicy na Odrze i Nysie miałoby być równoznaczne z oficjalnym pogrzebem wszelkiej nadziei wydobycia Polski spod władzy komunistycznej — to uważamy, że lepiej, by granica była nieuznana, a wrota wolności nie zatrzaśnięte” („Kultura” nr 198/1964). Od tych słów już tylko krok do tezy, że ogólnonarodowy front w sprawach Odry—Nysy jest w ogóle propagandową fikcją, gdyż granicy tej ze strony NRF nic nie zagraża...” Zmiana granicy na Odrze i Nysie z inicjatywą Zachodu, wbrew woli Ro-

sji oznaczałaby atomową wojnę światową. Jedynym mocarstwem, które bez wojny może «skorygować» tę granicę jest Rosja Sowiecka (...) która przez sekundę nie zawaha się poświęcić interesów polskich, jeżeli będzie tego wymagała jej polityka» („Kultura” nr 187/1963). Już tylko krok do oszczerstwa, jakoby to rząd NRD planował wystąpienie w sprawie przekazania „Niemcom wschodnim Szczecina oraz całego ujścia Odry i pasa wybrzeża bałtyckiego po obu stronach ujścia”, dla wzmocnienia potencjału swego kraju w rozgrywkach z Bonn. Cała ta bałamutna eskalacja była Mieroszewskiemu potrzebna jako efektowny wstęp do teorii, awansującej NRD do rangi dynamitarda, zbierającego siły i środki, celem rozbicia *status quo* w całej Europie. „Jestem przekonany, że większość społeczeństwa NRD nie uważa rządu w Bonn za swój rząd, który miałby prawo do reprezentowania wszystkich Niemców (...) W NRD formuje się inny naród niemiecki, który stanowi potencjalne zagrożenie zarówno dla Federalnej Republiki, jak i dla Europy Wschodniej. (Bo) Rosja zgodziłaby się na zjednoczenie Niemiec dokonane pod egidą NRD. Innymi słowy zgodziłaby się na «Czerwone Prusy»” („Kultura” nr 247/1968).

Czerwone Prusy! Jak widać, prymitywizm pojęć, jak również sam mechanizm piętrzenia teatralnych napięć, upodabnia sposób rozgrywania przez „Kulturę” kwestii niemieckiej do

innych jej kampanii. Odmienna jest przecież sama skala zagadnienia. Nie zapominajmy, że publicystyka „Kultury” naceLOWANA jest całkowicie na kraj, że zmierza do wytworzenia tu określonych psychoz politycznych, a jeden z podstawowych jej celów to przełamanie historycznej (i historią umotywowanej) obawy społeczeństwa polskiego przed agresywnością teutońską. Mieroszewski przeprowadza więc misterną próbę przerzucania uczuć. Nieufność Polaków radby skierować na NRD, sympatię pozyskać dla kół bońskich. A jako naturalną konsekwencję obrony przed totalitaryzmem „Czerwonych Prus”, podpowiada sojusz Polaków z tychże „Czerwonych Prus” drugą „ofiara”: podpowiada sojusz z NRF!

Oto mamy zatem zespół faktów, który określić można jako portfel propozycji „Kultury” w zakresie stosunków Polski z Niemiecką Republiką Federalną. Powszechna znajomość historycznych doświadczeń naszego narodu uwalnia autora od obowiązku podjęcia polemiki z tym rejestrem, gdzie rzekoma naiwność ociera się o prowokację, fałsz sąsiaduje z nonsensem politycznym. Byłaby to zresztą polemika zbędna i z tego względu, że żadna z wymienionych tez nie spotkała się z objawami poparcia ze strony jakichkolwiek sił społecznych, ugrupowań politycznych, czy choćby eminentnych jednostek w Polsce. (Pewne zbieżności można wykryć co najwyżej w osławionej „deklaracji niemieckiej” Episkopatu, ale nawet i on przy-)

mował do swoich apostołskich wybaczeń odmienny punkt wyjścia, niżli „Kultura”). Mamy zatem zespół faktów, mamy społeczny odzew. I teraz zaczyna się — zgodnie z naszą zapowiedzią — manewr. W kwietniowym numerze „Kultury” z roku 1968 Juliusz Mieroszewski występuje z deklaracją: „Niemcy były jedynym państwem na kontynencie europejskim, które miało konkretne i praktyczne możliwości budowania «mostu» pomiędzy zachodnią i wschodnią Europą. Niemcy były również jedynym państwem na kontynencie, które miało możliwość naocznego przekonania Polaków, że sojusz polsko-rosyjski jest dla nas nieuchronną koniecznością. W tej sprawie rząd w Bonn dopiął swego. Polacy, choć nadal są antysowieccy, w większości są za sojuszem z Rosją i w większości nie ufają Niemcom. Wielka szansa powrotu na Wschód została przez Niemców zmarnowana (...) Po wielu latach bezowocnych prób choćby prowizorycznej formy porozumienia polsko-niemieckiego — doszliśmy do wniosku, że większe zmiany następują w Związku Sowieckim niż w Niemczech. Niemcy w stosunku do Polski nie zmienili się na jotę. Na całym świecie nie ma jednego ugrupowania polskiego, z którym Niemcy potrafiliby znaleźć wspólny język.

To wszystko zapowiadało się inaczej. Wspólny Rynek, NATO wróżyły integrację i polityczne zjednoczenie Europy. Lecz Europa zdradziła swój cel. Owym celem było zjednoczenie ca-

łej Europy, a nie integracja jej zachodniej resztki. Odpisując na straty państwa wschodnioeuropejskiego regionu — zachodnia Europa sobie samą odpisała na straty. Niestety w tym stwierdzeniu nie ma uncji przesady (...)

Zachodni Europejczycy po dwóch wojnach światowych nie chcą, by ich kontynent w razie konfliktu stał się jednym z teatrów trzeciej, atomowej, wojny światowej. Wszyscy zachodni Europejczycy, w mniejszym lub większym stopniu są Gaulle'istami, z Anglikami włącznie. Nikt w Europie nie chce czynnego współudziału w ewentualnym konflikcie amerykańsko-sowieckim. O tym nie mówi się publicznie, ani nie pisze. Lecz fakty wspomniane powyżej stanowią główną przyczynę uwiadu NATO i redukcji w budżetach zbrojeniowych. Europa zachodnia szuka nie konfrontacji, tylko akomodacji ze Związkiem Sowieckim.

Z Rosją musimy wygrać pokój, ponieważ wojny z nią nie wygramy. Wojny nie wygramy choćby z tej przyczyny, że na terenie Europy wojnę z Rosją należy uznać za wyłączoną. Do wojny, jak wiadomo, trzeba dwóch. W zachodniej Europie owego «drugiego» trudno dobrać” („Kultura” nr 246/1968).

Byłoby naiwnością przypuszczać, że Juliusz Mieroszewski załamał się, ponieważ nie wykazali zrozumienia dla jego koncepcji Kiesinger, de Gaulle, Wilson; choć na pewno ważkim bodźcem do kolejnego manewru była obojętność, jaką wobec jego perfidnych supozycji

wykazywało społeczeństwo polskie. W tym sensie można też traktować wyznania Mieroszewskiego jako podważenie owych samozachwytów Leopolda Tyrmanda, jakie zacytowaliśmy na początku książki. W samym manewrze odczytać przecież można coś więcej niż chwilowy antrakt w koncercie, zorganizowanym na benefis Bonn. Rzecz wiąże się z drugim frontem działalności „Kultury”: z atakiem na międzynarodowy ruch robotniczy, którego siłą wiodącą jest KPZR, jest właśnie Związek Radziecki.

Na tym froncie wszystkie taktyczne manewry „Kultury” podporządkowane już są innym prawom. Inwencja samej redakcji zamienia się w karną dyscyplinę wobec generalnych reguł, jakie ustala sztab ideologicznej dywersji z Waszyngtonu. Jednolitość zadań widoczna jest mimo bezspornych wysiłków, by ukryć przed czytelnikiem tę kalendarzową niemal zgodność, z jaką z poszczególnymi inicjatywami w stosunku do Związku Radzieckiego występują publicyści „Der Monat”, „Preuves”, „Tempo Presente”.

Jak wątek radziecki kształtuje się na łamach „Kultury”? Temat wart omówienia właśnie w tym miejscu książki, gdyż dopiero kodyfikacja sądów „Kultury” o ZSRR unaocznia żałosny ogrom fikcji, którą paryski miesięcznik zachwala jako własny wariant miejsca Polski w Europie. Zachodnią granicę tej fikcji mamy już obrysowaną, sam Mieroszewski musiał wy-

przeć się tego rysunku. Dopełnijmy kompromitacji odsłonięciem obrazu na Wschodzie zakreślonego...

Wrogość do Związku Radzieckiego była od początku istnienia pisma jednym z podstawowych aksjomatów polityki „Kultury”. Przybierała nieomal rozmiary obsesji. Zjadliwy krytycyzm obowiązywał tu w stosunku do wszystkiego, co radzieckie: polityka, ekonomia, rolnictwo, nauka, obyczajowość, muzyka, malarstwo, gastronomia, prości ludzie, ulice radzieckich miast.

Na tym froncie nie istniały żadne różnice pomiędzy „Kulturą” a „Wiadomościami”, pomiędzy Mieroszewskim, a Terleckim. (Mieroszewski w pierwszych latach powojennych pisywał *notabene* w prasie londyńskiej, gdzie z zapałem dowodził, iż „*pax sovietica* oznacza całkowitą kapitulację przed Rosją. Pokój Zachodu, jaki uważamy za ideał naszej kultury, nie daje gwarancji, że II wojna światowa była ostatnią w dziejach ludzkości” („Orzeł Biały” nr 224/1946). Tyle może, iż Londyn mocniej eksponował w swej antywschodniej krucjacie element kulturowej obcości pomiędzy Polską a ZSRR. Tu niezbędna dłuższa dygresja. Pożornie odwołuje ona uwagę czytelnika od generalnego zagadnienia, tj. przeglądu koncepcji politycznych „Kultury”, pozwoli przecież zrozumieć mechanizm pewnych procesów psychologicznych, których znajomość ułatwia temu pismu prowadzenie jego gry. Otóż...

Powierzchniowa nawet obserwacja życia politycznego emigracji przekonywa, że motywy kulturowe odgrywają w tym życiu niezwykle rolę: są motorami działań, wektorami stanowisk. Wpływa to niewątpliwie ze struktury samego bytowania w *diasporze*, gdzie kultura (jej przeszłość, jej tradycje) zdaje się stwarzać — poprzez swą pozorną ponadczasowość, poprzez pozorny obiektywizm swych dzieł: zastanych, więc bezpośrednio nie zaangażowanych w spór z dzisiejszością — idealny materiał do wszelkich odniesień, które z kolei pomagają w podejmowaniu wszelkich decyzji. Odniesienia zamykają się jeszcze w sferze sztuki, decyzje odnoszą się już do spraw światopoglądu, ideologii, moralności. Analiza wielu aktów politycznych emigracji ujawnia warunkujący je system osobliwych sprzężeń kulturowo-historiozoficznych, których genealogii szukać przychodzi czasem w towiańszczyźnie, czasem w zadawnionych kompleksach szlacheckiego zaścianka.

Ta słabość przeciętnego emigranta do skojarzeń, wywodzących się ze sfery zjawisk kulturowych, dobrze jest znana przywódcom emigracji, często przez nich wyzyskiwana, a i umiejętnie podsycana. Tak np. udowodnienie sobie i światu szczególnego miejsca kultury polskiej w systemie kultury europejskiej stać się miało dla wielu ideologów Londynu myślą wiodącą ich działalności. Przede wszystkim mówić tu można o Tymonie Terleckim, którego poglądy

jako charakterystyczne dla całego środowiska, warto chyba zreferować w większym wyborze. Pierwszym punktem było więc wyrażenie wiary w szczególną funkcję społeczną kultury jako takiej, połączone z wyrażeniem obaw o los tej kultury: „Czas śmierci kultur nie jest wiadomy. Los ich zależy od woli przetrwania w stopniu jeszcze wyższym niż los człowieka. Bo kultura jest konstrukcją ludzką, nie strukturą przyrodniczą, organiczną, jak sam człowiek (...) Lecz kultura zachodnia nie utrzyma się samą siłą bezwładu. I sprawa jej przyszłości nie jest sprawą prostego, bezkrytycznego zachowania, ale przebudowy, przestawienia ze stopy pokojowej na wojenną... (...) Nie ma innej drogi niż dążenie do nowej syntezy podstawowych, rdzennych wartości kultury zachodniej, rozerwanych przez eksperyment sowiecki. Nie ma innej drogi, niż rozbudowanie, szerzenie, natężenie w sobie wiary w samą wartość kultury zachodniej, wiary w to, że jest ona i tylko ona godna człowieka” (T. Terlecki, *Święty płomień*, Londyn 1945, s. 8). Dalej program moralny nabierał już posmaku politycznego: „Kto walczy o Zachód, o jego samowiedzę moralną, o jego odpowiedzialność polityczną, o jedność jego wizji świata i zwycięstwo tej wizji, walczy o Polskę; kto walczy o Polskę, walczy o Zachód” (T. Terlecki, *Polska a Zachód*, Londyn 1947, s. 48). Przy innej zaś okazji, już na użytek zakamieniałych mesjanistów, którym nie w smak by pójść mogło podobne roztopie-

nie narodowego egocentryzmu w ramach nieokreślonej symbiozy z Zachodem, wyjaśnia Terlecki: „Polska może być sobą, w ogóle może istnieć tylko w ramach szerszego porządku. Przeciwnieństwem sowieckiej niwelacji nie jest bezład, ale ład tworzony według innej zasady: uniwersalizm szanujący osobowość ludzką i osobowość narodową. Jedynie w nim jest dla nas miejsce, tylko on jest gwarancją naszego wolnego istnienia i nieskrępowanego rozwoju” („Trybuna” nr 15/1947). W tych zdaniach odkryć można m.in. prąźródło kariery federalizmu wśród emigracji polskiej. Zarysowany jest w nich również program walki, jaką o Polskę ze swych przedwrześniowych snów toczył polski Londyn. Ekstazy Terleckiego podziałyły bowiem na środowisko emigracyjne z zadziwiającą zaraźliwością, dostarczając podniety do jedynych praktycznych poczynąń, do jakich zdadne było to całkowicie zdeintegrowane, osłabione utopijnością swych światopoglądowych koncepcji, środowisko. Rozpętała się wielka batalia o miejsce kultury polskiej w świecie. Hąsłem było założenie, iż wschodnia granica Polski stanowi zarazem wschodnią granicę europejskiej wspólnoty kulturowej. Argumentów szukano głównie w historii, przy czym niejednemu z opublikowanych wówczas szkiców trudno odmówić obiektywnej wartości poznawczej (np. Ignacego Wieniewskiego *Powrót na via Appia*, gdzie autor, tłumacz *Iliady*, pisze o wpływach antyku na kształtowanie się idei humanistycznych

w Polsce). Przeważnie były to jednak poszukiwania łączności z Zachodem poprzez negację Wschodu, a zacierzowanie emigracyjnych esseistów sprowadzało je niejednokrotnie do prostackiego dowodzenia osobistych nienawiści poszczególnych twórców polskich i rosyjskich. Takim szyfrem pisany był np. szkic prof. Wacława Lednickiego *Mickiewicz a przyjaciele Moskale* („Wiadomości” nr 551/1956). W tomie *Krasiński żywy* nad antyrosyjskością pisarza rozwodzi się Oskar Halecki, w tomie *Conrad żywy* — podobny ton wnosi Jerzy Stempowski. Następowало absolutne pomieszanie kryteriów. Udowadnianie tego, że coś jest „zachodnie”, że jest „europejskie” kazało publicystom emigracyjnym zapomnieć o fakcie, iż przedmiot ich analizy jest przede wszystkim „polski”. Przeczytajmy uważnie poniższe cytaty, a dojdziemy do bezspornego wniosku, że oto mysz zjadła górę. Czytamy w zbiorze Stefani Kossowskiej *Mieszkam w Londynie*: „Z londyńskich występów «Mazowsza» zobaczyliśmy my sami, Polacy, jak mało jesteśmy egzotyczni, a jak bardzo Europejcy. Zarówno w stylu tańca, jak w stroju nie ma śladu jakichkolwiek wpływów Wschodu, za to wciąż narzucają się porównania z Zachodem” (Londyn 1964, s. 275). Czytamy w zbiorze Tymona Terleckiego *Ludzie książki i kulisy*: „Z woli losu Lwów mógł miastem być bardziej zachodnim, bardziej europejskim, bardziej stołecznym niż Kraków i Warszawa” (Londyn 1960, s. 13).

Europejskość staje się już czymś więcej niż wyznacznikiem polskości, więcej nawet niż jej synonimem, staje się obsesją. Podkreślmy: trudno stwierdzić, jaki wpływ wywarł tu subiektywny element neomesjanizmu, tak typowy zwłaszcza dla środowiska londyńskiego. Egzaltacja, bijąca z cytowanych uprzednio fraz Terleckiego, każe ów element wprowadzić do rachunku. Obiektywne przecież następstwa samego zjawiska służyły określonym zimnowojennym celom. Służył im wówczas i Mieroszewski. Propagując w roku 1952 swą ideę Europy sfederowanej, nie zapominał — cytowaliśmy jego wywód — użyć argumentu o „europejskiej jedności cywilizacyjnej”, która kończyła się tam, gdzie kończy się Polska.

Już w roku 1954 kultura europejska zaczęła się nagle okazywać pojęciem pojemniejszym. W roku 1955 stała się nieledwie łącznikiem sięgającym ponad i poza geograficzne granice. W instruktażowym dla nowych zasad dywersji ideologicznej dziele, w *Zjednoczonej Europie* Wandyczka i Frendla czytamy: „Postulat utrzymania łączności w dziedzinie kultury pomiędzy obu częściami kontynentu europejskiego jest jednym z naczelných zadań w chwili obecnej. Konieczne jest, aby czynniki kierownicze ZSRR i krajów demokracji ludowej zdały sobie z tego sprawę. Polityka kulturalno-intelektualna typu stalinowskiego, praktykowana w okresie minionym i do której powraca się, niestety, coraz częściej, zwiększa jedynie głód

intelektualistów tych krajów, a owoc zakazany jest zawsze o wiele bardziej atrakcyjny” (*Zjednoczona Europa — teoria i praktyka*, Londyn 1965, s. 241). Dla „Kultury” sens tych zdań brzmiał jak dyrektywa, przekreślał również wczorajszą taktykę opisu ziemi radzieckiej, ludzi radzieckich, kultury radzieckiej. Zjawiają się nowe słowa: „Jednolity front socrealistów należy dziś do przeszłości... I sowiecki film przeinaczył się całkowicie... W całych Sowietach mamy do czynienia z rewolucją poetów. Zarówno Jewtuszenko, jak i Wozniesieński należą *etc etc*. Prasa sowiecka potwierdza, że proces ten ogarnia także i prostego obywatela *etc etc*” (B. Lewicki, *10 lat po śmierci Stalina*). Do tej pory krytycy literacy „Kultury”, jeśli już okoliczności kazały im wypowiadać się o pisarzach Rosji, zatrzymywali się zazwyczaj na Dostojewskim, teraz Herling-Grudziński pisze nawet o Dudincewie, Czapski zachwycą się Achmatową. Wszystko poczyną zmierzać nieomal ku idylli, zupełnie jak w tej opisaney w *Londyniszczy* przez Cata-Mackiewicza historyjce, kiedy to angielscy burżuazyjni ekskluzywnych podziemiach Lyonsa na Coventry powstałi z krzesel, by oklaskiwać zabłąkanego tam „marynarza ze świty sowieckiego admirała, który tego dnia raczył bawić w Londynie”. Cel rzeckomej idylli był dziecinnie prosty: zaakcentować *quasi*-obiektywizm, by ułatwić sobie potem atak. I „Kultura” szerzej niżli o Dudincewie poczyną pisać o *Doktorze Żiwago*, jeszcze sze-

rzej o Tarsisie, Tercu, Arżaku. Znikły przecież bezpośrednio ataki na pryncypia: przypomniano nawet komplementy sędziwego prof. Zdzichowskiego, że „bolszewizm ma w ręku oręż groźny, którego żadna moc materialna nie kruszy — ma ideę.” Przestrzega się skrupulatnie, by ludzi radzieckich odróżniać od radzieckiego ustroju. Ustrój jest zły, ale ludzie mogą być dobrzy. I tak np. Józef Czapski, wznawiając w roku 1962 swą paszkwilancką *Nieludzką ziemię* (pierwsze wydanie w roku 1946) stwierdzi we wstępie: „Książka moja o okrutnym dla Rosjan tytule, świadczy jednocześnie o moim przywiązaniu do Rosji. (...) Za wiele znałem i za wiele zawdzięczam Rosjanom, rosyjskiej literaturze, za wiele doznałem serca od Rosjan (...) Wierzę, że rzetelne i braterskie współżycie Polski i Rosji jest nie tylko możliwe, ale w przyszłości konieczne” (*Na nieludzkiej ziemi*, Paryż, 1962). W każdym niemal opisie radzieckiej współczesności znaleźć można choćby jeden punkt światła. Aleksander Wat w *Śmierci starego bolszewika* entuzjazmuje się np. ofiarnością radzieckich lekarzy; Stanisław Vincenz w *Dialogach z Sowietami* znalazł słowa uznania nawet dla wyższego funkcjonariusza radzieckich władz bezpieczeństwa. Rzekomy obiektywizm procentuje przecież na rzecz tej samej co dawniej propagandy, a nawet ją dobitniej wspomaga. Za każdym razem ów błysk światła otoczony jest bowiem wyraźnym, autorskim nawiasem, który dyskretnie przypomi-

na, że opisywana sytuacja jest wyjątkiem. Światło gra zatem na korzyść czerni, wyjątkowość potwierdza regułę, wzmacnia wiarę naiwnego czytelnika w słuszność uogólnień, które przed nim buduje obiektywny rzekomo autor.

Można zrozumieć (co nie znaczy: wytłumaczyć!), że ta stała eskalacja nienawiści ku Związkowi Radzieckiemu ma spełniać w „Kulturze” określone zadania propagandowe. Zwłaszcza wśród czytelników emigracyjnych: ma podtrzymywać ich w temperaturze wrzenia. Nie sposób atoli nie umocnić się zarazem w przekonaniu, że ta eskalacja nienawiści służy przede wszystkim zaciemnieniu faktu, że oto na wschodniej granicy roztrzaskuje się mit o jakimś tam, rzekomym „nowym miejscu dla Polski”, wynalezionym przez zespół „Kultury”. Tu nie ma ona swym wyznawcom niczego do zaproponowania, skoro nie może zaproponować im marszu na Moskwę. Ten niedostatek programu wiąże się z osobliwą karierą na łamach paryskiego miesięcznika wątków ukraińskich i białoruskich. Są to melancholiczne paliatywy, którymi „Kultura” usiłuje zapełnić pustkę geopolityczną, straszącą w jej koncepcjach, za wschodni brzeg Bugu sięgających. Zaludnia więc tę pustkę widmami: suwerennej Białorusi i suwerennej Ukrainy. Widma przybierają zresztą kształt człowieczy: przetrwałe w NRF nie-dobitki UPA czy SS-Hałyczyna czują się awansowane do rangi partnerów, czemu wyraz dają dość buńczucznie. W numerze 185 „Kultury”

Milena Rudnicka wystąpiła z długim wykładem, iż dopiero „zmowa wersalska” w roku 1918 przekreśliła „cuda waleczności”, jakich w walce z pułkami Hallera dokazywała Ukraińska Haliycka Armia. Trochę tylko dziwne, że „Kulturze” takie partnerstwo zdaje się w końcowym rozrachunku odpowiadać. W numerze 250/251, a zatem ostatnim, jaki ukazał się do chwili pisania tej książki, Józef Łobodowski afiszuje się z współczuciem dla osławionego Stepana Bandery „zglądzonego w okropnych męczarniach przez agenta NKWD”.

Postawa — poza wszystkim — konsekwentna! To właśnie Łobodowski już w roku 1952 nawoływał do wskrzeszenia „samoistninnej” Ukrainy, która „zwiąże Rosji ręce troską o odzyskanie dostępu do basenu czarnomorskiego”, od Polski zaś odgradzona będzie „Ziemią Czerwieńską, która jako człon terytorialnie pośredni, powinna otrzymać swój własny statut i zachowanie form związkowych z Warszawą i Kijowem” („Kultura” nr 52/1952). Tyle, że rok 1952 należy do okresu historycznego, który nawet Juliusz Mieroszewski uznał za zamknięty. Tyle, że Kondominium Czerwieńskie to kiepski dowcip, a nie program stosunków państwowych Polski i ZSRR. Nie mając w tej mierze niczego do przeciwstawienia polityce przyjaźni i sojuszu z Krajem Rad, realizowanej przez rząd PRL, publicyści „Kultury” ograniczać się muszą do frazesów i morza nienawiści. Przyjaźń i wyrozumiałość zachowują dla Bonn.

EWOLUCJONIZM (od Października do Marca)

Zacznijmy od powtórnego przytoczenia słów manifestu, jakim VIII Plenum KC PZPR przywitał zespół „Kultury”. „Dajemy kredyt zaufania Władysławowi Gomułce. Ufamy, że jego celem jest pełne uniezależnienie Polski od Rosji. Ufamy, że z udzielonego mu poparcia przez naród polski wyciągnie konsekwencje i chcąc się oprzeć na niekomunistach da im głos”. Tekst powyższy można by ocenić jako jawny akcent na opozycję poza Partią, na pogrobowców endecji i pilsudczyzny, na koła klerykalne, na inteligenckich liberałów. Przyjęcie takiej interpretacji kazałoby z kolei skomentować manifest „Kultury” mniej więcej tak: Mieroszewski i jego towarzysze popełnili w swych rachubach błąd generalny, nie uwzględniając w nich charakteru przemian, jakie dokonały się w Polsce w latach 1944—1956. W zakresie przemian ekonomicznych był to m. in. zanik bazy materialnej, która by mogła stanowić naturalne zaplecze dla potencjalnej opozycji politycznej, przedłużając jej wegetatywne wyczekiwanie na moment dojścia do władzy; w zakresie przemian

światopoglądowych był to m. in. wzrost zaufania mas ludowych do Partii, która czynem Październikowym jeszcze to zaufanie zwielokrotniła. Z zaś finalny wniosek z tego wszystkiego byłby z kolei taki: „Kultura” rozegrała Październik po prostaku, fiasco jej planów stanowi słuszną za to karę.

Za całym tym ciągiem dowodzeniowym zdaje się przemawiać samokrytyka, którą po dwóch latach przeprowadził na łamach „Kultury” Mieroszewski. Samokrytyka, ze wskazaniem na ludzi odpowiedzialnych za jego pomylki: to „bezsensowne warszawskie powstanie rozbroiło Październik. Nie twierdzą, że jesienią roku 1956 trzeba było robić powstanie. Twierdzą natomiast, że gdyby tragedii warszawskiej uniknięto, dynamizm przewrotu październikowego być może nie ugrzązłby w pół drogi. (...) Twierdzą, że gdybyśmy mieli wówczas w kraju ludzi wybitnych, istniałyby niewątpliwie możliwości wymuszenia na Gomułce poszerzenia platformy rządowej (...) Wodzowie warszawskiej „Burzy” przegrali podwójnie — raz w 1945, a drugi raz w 1956. W obu przypadkach przegrali na korzyść Rosji” („Kultura” nr 138/1959).

Ogłosił przecież Mieroszewski i drugi wariant swej samokrytyki: „Wierzyliśmy — patrząc na sytuację przez międzynarodowy pryzmat październikowych wydarzeń — że Gomułka jest »innym« komunistą. Wierzyliśmy, że jest rewizjonistą. Wierzyliśmy, że chce

spolszczyć marksizm i na drodze perswazji i argumentów szukać ogólnonarodowego poparcia dla swych reform” („Kultura” nr 128/1958). Ten drugi wariant każe ocenić manifest „Kultury” z roku 1956 jako pospolitą prowokację. Pospolitą — tyle że w wielkim stylu — i świadczą z kolei o znakomitej orientacji grupy z Maisons-Laffitte w istocie przemian, których symbolem i rzecznikiem był towarzysz Władysław Gomułka. Właśnie to rozpoznanie i prawidłowa ocena rozwoju sytuacji w kraju kazała „Kulturze” szybko wystarać się w roku 1956 o alibi. Alibi nie wobec Polski, ale wobec emigracji, która w znacznym stopniu musiała (ten ciąg następstw „Kultura” była w stanie przewidzieć) ulec magii faktów, które po Październiku poczęły dostarczać kraj. Motyw „zmarnowanego kredytu zaufania” miał służyć „Kulturze” jako oręż przeciw Gomułce: „My chcieliśmy, ale on nie chciał, byliśmy gotowi do współpracy, to on wybrał walkę etc. etc.” Motyw ten odtąd zagości na stałe w publicystyce Mieroszewskiego. W roku 1957 będzie pisał: „Zaufania nie cofamy, ale jest go już coraz mniej”. Jeszcze w roku 1968 będzie do wątku tego wracał. Od razu zaś, bezpośrednio po Październiku, „zaufaniowe” alibi stanowiło już pierwszy symptom walki, którą „Kultura” przeciwko Partii i Polsce Ludowej postanowiła podjąć, mimo niesprzyjających warunków, jakie niósł dla niej klimat październikowych prze-

mian. Program tej walki zdefiniował Mieroszewski w tym samym artykule, który tak „samokrytycznie” rozpoczynał: „Gdy więc nadejdzie odpowiedni moment, trzeba stworzyć opozycyjną partię socjalistyczną. To jest konkretny cel, do którego należy dążyć z umiarem i z przezornością”. Od razu po Październiku rozpoczyna się wzrastające z każdym rokiem poparcie „Kultury” dla grup i tendencji rewizjonistycznych na terenie Polski. Poparcie, które wywołało kolejną kontrowersję pomiędzy „Kulturą” a ugrupowaniami londyńskimi, gdzie nadal odmawiano ze względów pryncypialnych zainteresowania dla jakichkolwiek prób konfrontowania ideowych postaw z krajem. „Mamy pełny szacunek dla młodych polskich rewizjonistów — pisał Ciołkosz — dla trudu intelektualnego, jaki w najcięższych warunkach wykonali, ale podać im rękę możemy tylko w jeden sposób: dopomagając im do dalszej ewolucji ideologicznej w kierunku socjalizmu demokratycznego i pracując w wolnym świecie nad wytworzeniem warunków, w których możliwe będzie w Polsce zbudowanie demokracji” („Robotnik” nr 10/1958).

Znamienny jest to przykład kłopotów „Kultury” z podwójnym adresatem. Znamienny, bo owe przejście do porządku nad „londyńską” opozycją tym mocniej uwypukla służebną funkcję „Kultury” wobec dyrektyw ośrodków, kierujących całością akcji „rozmiękczenia”. W szkicu *Czy socjalizm jest jeszcze potrzebny?*

(„Kultura” nr 146/1959) namawia więc Mieroszewski potencjalnych Modzelewskich i Kurońów do „humanizacji rządów monopartyjnych”, rozumiejąc przez ten slogan odstępstwo od zasady dyktatury proletariatu, przygrywkę do wolnej gry sił politycznych. W szkicu *Emigracja rewizjonistyczna* („Kultura” nr 132/1958) obiecuje wszelką pomoc (łącznie z materialną!) tym, co „nie wyrzekają się wiary w podstawowe cele socjalizmu, ale dochodzą do przekonania, iż przez komunizm celów tych nie można urzeczywistnić”. Nie poprzestawano na obietnicach. Wielkoduszności „Kultury” doświadczyć miał na sobie Andrzej Stawar, który w paroksyzmie zabijającej go choroby, zdecydował się zdradzić sam siebie i w pensjonacie Maisons-Laffitte nakreślić oszczerce o komunizmie notatki. Instytut Literacki wydał je pieczołowicie w roku 1961, opatrując książkę — pobrzękującą triumfem — przedmową Stempowskiego. Triumf należało nb. mierzyć bardziej w kategoriach psychologicznych niż ideowych, a i tu rzecz była ambiwalentna. Stawar rzucił kraj, gdzie otaczała go sława i splendor — to prawda. Miał przecież świadomość bliskiej, nieuchronnej śmierci; nie rzucał splendorów, a jedynie przebierał w trumnach. Zaś lektura jego przedśmiertnych *gloss* porównanych z zamieszczonymi w tymże tomie *Pism ostatnich* przedrukami z przedwojennego, trockistowskiego *Pod prąd* uzasadnia w sposób dość nieoczekiwany logikę jego

wyboru: odejście Stawara od marksizmu w roku 1961 stanowiło naturalną pochodną jego odejścia w roku 1934.

Inne triumfy „Kultury” na odcinku jawnych odejść nie były już tak głośne. Odchodzili ludzie pomniejsi, ludzie nie zaangażowani w polityczne sprawy kraju. Z pierwszych był Aleksander Wat, z drugich — Artur Maria Swinarski. Obaj nie bardzo potrafili się nawet „Kulturze” za jej pomoc w zdradzie wypłacić. Antyradziecka proza Wata była wtórna, bezmyślnie powtarzająca dawne stereotypy o „terrorze NKWD”; wydana w Instytucie Literackim komedijka Swinarskiego *Sasza i bogowie* cały swój dowcip skoncentrowała w tytule. Błaha treść nie uzasadniała nadziei ani tych, jakie mogli żywić wielbiciele *Achillesa i panien*, ani tych, związanych z prowokacyjnym spieszczeniem imienia tytułowego bohatera.

Trzeba przecież zdać sobie sprawę z faktu, że zadaniem „Kultury” nie był i nie jest drenaż kraju z krajowych talentów, a przeciwnie: zadaniem było i jest „zjednywanie elit”, czyli zdobywanie wyznawców, którzy tam, nad Wisłą, mają pracować nad erozją komunizmu. Prognozy dla tej akcji były w pierwszym pięcioleciu popaździernikowym wciąż niezbyt pomyślne. W omawianym właśnie okresie — koniec 1962 roku — wyjeżdża z Polski do Izraela dr Witold Jedlicki, socjolog, pracownik PAN, członek zarządu „Klubu Krzywego Ko-

ła”. Jedlicki publikuje w „Kulturze” trzy artykuły: *Chamy i Żydy*, *Glossa autorska dla Chamów i Żydów*, *Narodowy liberalizm*. Artykuły te uświadomiły Mieroszewskiego i jego redakcyjnych kolegów (choć nie tego rodzaju uświadomienie było subiektywnym zamysłem paszkwilanckich szkiców Jedlickiego), że długo przyjdzie im czekać na rozbitcie jedności Partii. Ze społeczeństwo polskie, w tym także podstawowa masa inteligencji, całkowicie solidaryzuje się z linią władzy ludowej. Co więcej: „Z istniejącą w Polsce strukturą władzy i strukturą gospodarczą stosunkowo łatwo pogodziła się warstwa, która jeszcze niedawno (tzn. do 1956 roku) buntowała się tak bardzo przeciw tym strukturom: wąska warstwa intelektualnej elity twórczej” („Kultura” nr 187/1963). Rewelacje Jedlickiego (wokół których rozpętała się zresztą ożywiona polemika) nie brzmiały dla „Kultury” optymistycznie. Zdawały się świadczyć, iż należy przemyśleć problem intensyfikacji działań bądź modyfikacji metod. I właśnie w okresie tych zastanowień 34 intelektualistów polskich wystąpiło z listem otwartym do przewodniczącego Rady Ministrów PRL.

Odzew „Kultury” na *List trzydziestu czterech* był natychmiastowy; nie bez wpływu pozostała tu znana opinii polskiej okoliczność, że dokument ów szybciej niżli do rąk nominalnego adresata trafił do monachijskiej rozgłośni „Wolnej Europy”. Mechanizm wielkiej

prowokacji puszczonej został w ruch z pełną rozrzutnością środków. Więc najpierw szczegółowe opisy wydarzeń w Warszawie, pikantne detale, sensacyjki, domyslniki, w których żywał się tajemniczy „korespondent z kraju” — sędziwy Gaston de Cerezay. Potem seria uogólnień, komentarzy i złowróźbnych proroctw. A przede wszystkim szeroka kampania propagowania już nie samej idei *Listu...*, a konkretnych, podpisanych pod nim osób. Z dnia na dzień Antoni Słonimski, Stefan Kisielewski, Paweł Jasienica, Jan Kott, Adam Ważyk, Jerzy Andrzejewski oraz paru innych sygnatariuszy tego dokumentu stają się primadonnami sezonu. Idzie w cenę wartość ich dzieł, nawet tych, do tej pory przez recenzentów „Kultury” wykpiwanych. Arcydziełem staje się *Popiół i diament*, dawniej ochrzczony ironicznym mianem „*Pana Tadeusza Polski Ludowej*”. Rośnie skala talentów, rośnie krystaliczność charakterów. Jednocześnie, przedmiotem niewybrednych oszczerstw stają się ci pisarze, którzy z obywatelską troską ocenili intencje oraz pochoptność działania swych kolegów. Atakuje się Iwaszkiewicza, Różewicza, Przybosa, Putramenta. I jeszcze jedna charakterystyczna okoliczność: „Kultura” nie traci czasu na propagowanie osób, których rzeczywista prawda charakteru i znane powszechnie przywiązanie do kraju ojczystego każe przypuszczać, iż w grupie „trzydziestu czterech” znalazły się na skutek zbiegu niefortun-

ných okoliczności. Ludzie ci to dla propagandzistów „Kultury” towar nierentowny. Odnawia się więc tylko ich nazwiska (liczebność „opozycji” też posiada swoją wagę!), ale nie inwestuje się w propagowanie ich osób nadmiernej, reklamodajnej energii. Ta musi się przecież „Kulturze” zwrócić. Jak? W odpowiedzi znów zacytujemy Jedlickiego: „będzie się wpływać na rozwój stosunków, będzie się dążyć do zmiany konkretnego układu sił (...) Wolność może przyjść poprzez wzmaganie presji społecznej na władze, w co jakiś czas powracających okresach liberalnej koniunktury” („Kultura” nr 185/1963). Lekcja *Listu trzydziestu czterech* dowodzi w sposób przekonujący, że wysiłki zagranicznych kół antysocjalistycznych, że potencjał zachodnich tub masowej propagandy skazane są na jałową bezczynność do momentu, kiedy nie natrafiają na pretekst, na odskocznnię w jakimś wydarzeniu, które miejsce miało w Polsce. Może to być fakt nawet o słabym rezonansie społecznym, byle by istniał. Już umożliwia rozwinięcie maszyny propagandowej, uruchomienie wszystkich form kształtowania opinii publicznej, wyzyskiwania naiwności politycznej mas w swoich krajach etc. etc. W konsekwencji zachęca to ośrodki dywersji ideowej do wzmożenia infiltracyjnych wysiłków dla stworzenia nowego okresu *prosperity*. Wysiłki te adresowane są w pierwszym rzędzie do kół najbardziej podatnych: grup i grupiek reakcyjnych, rewizjonistycznych, sy-

jonistycznych. Wzbogacenie tych grup o nowych wyznawców to zatem pierwsze zadanie, zaś pierwszą lokatę na liście służących ku temu metod zajmuje wspomniana tu już taktyka „zjednywania elit”. Sprowadza się ona do prób pozyskania eminentnych osobistości ze świata naukowego, bądź artystycznego dla interesów, uprawiającego tę taktykę, zachodniego mocarstwa: Stanów Zjednoczonych, NRF, Izraela. Pozyskiwanie to odbywa się w różny sposób, czasem za pomocą zwykłego przekupstwa, czasem za pośrednictwem grania na ambicjach, czy też za pomocą wyrobienia ludziom nazwiska w świecie naukowym, dziennikarskim lub artystycznym Zachodu.

Najbardziej sprzyjająca dla tego rodzaju działalności jest oczywiście wymiana naukowo-kulturalna, na której poszerzenie nie bez przyczyny naciska rząd amerykański i władze innych krajów zachodnich, uczestniczących w operacjach wojny psychologicznej.

Na temat znaczenia wymiany naukowo-kulturalnej dla długofalowej akcji „zjednywania elit” znajdujemy ciekawą wypowiedź w opracowaniu przygotowanym przez Ośrodek Zagadnień Międzynarodowych Uniwersytetu Harvard dla Komisji Spraw Zagranicznych amerykańskiego senatu, w którym stwierdza się m.in.: „Aby pobudzić ewolucję wewnątrz systemu radzieckiego i bloku komunistycznego, winniśmy popierać możliwie najbardziej rozległe kontakty ze światem komunistycz-

nym. Nasza polityka winna stymulować rzeczywistą wymianę w przeciwieństwie do oficjalnej wymiany. Stany Zjednoczone winny starać się rozwijać szerokie kontakty z intelektualistami w orbicie komunistycznej i ewentualnie z politykami z wyższego i średniego szczebla w nadziei stopniowego oddziaływania na ich zobowiązania ideologiczne”.

Komentarzem opatrzył te wskazania Dean Rusk w czasie przesłuchań przed Komisją Izby Reprezentantów w październiku 1961 roku: „Te kontakty nie przynoszą natychmiastowych dywidend — ale sądzę, że na dalszą metę będą one istotne”.

W akcji „zjednywania elit” „Kultura” brała ożywiony udział przez precyzyjne dawkowanie pochwał w rubryce recenzji krajowych, gdzie szczególnym uznaniem darzono prozę Strykowskiego, Andrzejewskiego, Kazimierza Brandysa, poezję Słonimskiego, eseistykę Kotta i Jasienicy. To od „Kultury” rozpoczęła się zachodnioeuropejska kariera *Szkiców* o *Szekspirze* Jana Kotta: studium o zgoła nieszeksprowskim „wielkim mechanizmie” zdobyło nagrodę francuskich wydawców, a autorem zaopiekował się angielski „Encounter” i amerykańskie uniwersytety. Z łamów „Kultury” otrąbiono znakomitość *Idzie skacząc po górach* Andrzejewskiego czy *szkiców* o żydowskiej martyrologii, autorstwa Adolfa Rudnickiego. Nawet o sensacyjno-kryminalnych powieściach Stefana Kisielewskiego głosił Miłosz, że

nawiązują do Daniela Defoe (!). Załącznikiem do pochwał są oferty pomocy w robieniu światowych karier. Mieroszewski pisał: „Gdyby istniały stypendia umożliwiające pisarzowi zorganizowanie sobie życia przez rok czy półtora roku za granicą — znaleźliby się tacy, którzy skorzystaliby z tej sposobności. Celem stypendium byłoby umożliwienie pisarzowi napisania czy też wykończenia i wydania książki za granicą. Wolność wybierałaby książka, nie autor. Autor miałby możliwość przez rok czy półtora roku zastanowić się nad swoją sytuacją i powziąć decyzję w spokoju i wolności bez bezpośrednich trosk finansowych” („Kultura” nr 196). Zaznaczyć wypada, że postulowane stypendia szybko się znalazły. Widać miał rację Mieroszewski, kończąc cytowany felieton przechwałką: „»Kultura« jest czytana czasami i przez członków »KC« w stolicach Zachodu. Czasami sugestie wysuwane przez nas — trafiają tam, gdzie należy”.

Wypada stwierdzić, że ogromny procent pisarzy krajowych, korzystających z zachodnich stypendiów, zawiodło ciche intencje fundatorów. Były przecież wypadki, że stypendysta wyjechał i już przez parę lat „zastanawia się nad swoją sytuacją”: Jan Kott, Andrzej Wirth, Sławomir Mrozek. Uzupełnieniem akcji stypendialnej jest nieproszona „życzliwość Kultury”, ofiarującej przyjeżdżającym na Zachód pisarzom polskim pośrednictwo w kontaktach z tamtejszymi wydawcami. Szczególną aktyw-

ność w tej materii przejawiał na terenie Francji sam Giedroyc, a we Włoszech Gustaw Herling-Grudziński, który kuśił istotnie dobrym edytorem, bo znaną firmą Riccioli.

Obok „zjednywania elit” nie zapomniano o zjednywaniu młodzieży. Tu sprawę komplikował fakt nieistnienia bezpośredniego styku: do szerszych środowisk studenckich i młodzieżowych w kraju „Kultura” przecież nie dociera. Pozostawał kontakt poprzez młodych stypendystów, odbywających staż w paryskich bursach. Tu, jeśli zabłądzili do Księgarni Polskiej na *St. Germain*, czy do ustronnej księgarenki „Libelli”, otrzymać mogli egzemplarze „Kultury” za darmo. W nich zaś demagogiczne relacje z zająć marcowych, dytyramby na cześć Michników i Topolskich. W środowisku stypendystów usiłowano też prowadzić bezpośrednią agitację polityczną, której program nakreślił już przed kilku laty w cytowanym przez nas artykule Mieroszewski, a w której specjalizowali się mniej znani szerszemu ogółowi pracownicy „Kultury”, jak np. Zygmunt Hertz, syn b. generalnego przedstawiciela firmy Solway w Polsce, a obecnie szef nielegalnej ekspedycji „Kultury” do kraju. Jak wyglądało to w praktyce, niechże wyjaśni dłuższy cytat z dyskusji, która toczyła się w redakcji warszawskiego „Miesięcznika Literackiego” na temat metodyki działań zachodniej dywersji ideologicznej:

„Kilka lat temu młody i rozwichrzony poli-

tycznie człowiek, Karol Modzelewski, jedzie na stypendium naukowe do Włoch. Tam poznaje niezbyt ciekawego osobnika, który wytłumaczył mu, że współczesny trockizm posiada w wielu krajach swoje odgałęzienia organizacyjne, a nie ma ich właśnie w Polsce. Modzelewski doszedł najwyraźniej do wniosku, iż dobrze byłoby »coś zrobić«, aby również w Warszawie powstała partia trockistowska. Cóż więc można było zrobić? Oczywiście najprościej jest napisać trockistowski program, a wtedy na pewno partia zwolenników trockizmu odrodzi się do życia.

Kiedy więc Modzelewski powrócił do kraju, zebrał kilku kolegów i zaczęli taki program pisać. Charakterystyczne, że pisali ów »program« zaledwie w kilku egzemplarzach, przy czym pierwszy zaniesiono najpierw do człowieka, który go miał przekazać na Zachód. Tych młodych autorów mniej interesowała w istocie rzeczy sprawa popularyzacji w kraju myśli, które spłodzili — nie powielili swego »programu«, chociaż posiadali powielacz. Co im z tego, że odbiją np. 100 egzemplarzy? Szło im natomiast o to, żeby »ich program« dostał się za granicę, bo wiedzieli, że tam będzie rozkolportowany w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy. I to właśnie było ważne.

Na przykładzie tej sprawy widoczny jest moment inspiracji politycznej ze strony dywersyjnego ośrodka. Ośrodek ten stara się stworzyć fakty, które następnie są przedsta-

wiane w krzywym zwierciadle antysocjalistycznej propagandy. Te fakty stają się odskocznią do prowadzenia wielkiej propagandowej roboty przy pomocy zastosowania najnowocześniejszych środków wymiany informacji: radia, prasy itp. Wyłania się tu pytanie: co jest najważniejsze w tej całej sprawie? Wydaje się, że główną rzeczą w całej historii Modzelewskiego jest właśnie »obca inspiracja« („Miesięcznik Literacki” nr 9/1968). Człowiek, który we Włoszech uświadamiał młodego Modzelewskiego, pracował dla trockistowskiej IV Międzynarodówki, ale tekst tzw. manifestu Modzelewskiego i Kuronia ukazał się m.in. jako zeszyt z serii „Dokumentów” Instytutu Literackiego, w myśl dewizy, że przyjaciele naszych przyjaciół są naszymi przyjaciółmi.

Spłyceniem sprawy byłoby przecież ograniczenie działalności „Kultury” do łańcucha jednostkowych aktów: reklamowania obrażonego na socjalizm literata czy też kaptowania łasego na rozgłos młodego człowieka. Gdy celem jest generalna rozprawa z socjalizmem, generalną metodą musi być organizowanie wielkich kampanii propagandowych, dla których punkt wyjścia stanowią wybrane akcje władzy ludowej i fundamentalne procesy społeczne, zachodzące w Polsce. Wybrane, tj. takie, których odpowiednie skomentowanie przez „Kulturę” spowodować musi rezonans w konkretnych kręgach opinii Zachodu. Nie

pisze więc „Kultura” o pomocy, jakiej państwo polskie udziela pisarzom, m.in. za pomocą stypendiów twórczych, lecz do monstrualnych rozmiarów rozdyma list pisarzy, skarżących się m.in. na braki w dostawach papieru. Nie pisze o sukcesach polskiego teatru, lecz komentuje — przeinaczając fakty — sprawę dejmkowskich *Dziadów*. Nie pisze „Kultura” o polskiej polityce pomocy dla walczącego Wietnamu, natomiast pretekstem do szczególnie perfidnej nagonki na nasz kraj stało się zajęcie przez Rząd PRL stanowiska w kwestii agresji Izraela na Bliskim Wschodzie. Specjalną aktywnością wyróżniali się w tej akcji Konstanty Jeleński oraz Gustaw Herling-Grudziński, a eskalacja ataków antypolskich była tak potężna, że czuła się w obowiązku zaprotestować Polonia londyńska. Publicystom „Kultury” nie popsulo to zresztą samopoczucia. Z całym cynizmem ironizowali, że zapewne do dawniej zapracowanych epitetów przybędzie im tytuł „agentów syjonizmu”*. Nie ma powodu,

* Propaganda syjonistyczna odżywała *notabene* na łamach „Kultury” przez cały czas istnienia pisma. Jak we wszystkich jego akcjach, tak i w tym przypadku, dziergano ją misternym ścięgiem, zdobiąc w wątpliwe pytańki i szlachetne deklaracje. Za przykład tych ostatnich uznać trzeba studium Aleksandra Hertza *Żydzi w kulturze polskiej* (Paryż, 1961). Zasadność tych deklaracji przekreślała przecież choćby rozpisana w roku 1956 ankieta o „polskim antysemityzmie”. Mit polskiego „żydożerstwa” podtrzymywał Tomasz Staliński w *Widziane z góry*, gdzie obłudnie „usprawiedliwiał” wrodzony jakoby Polakom antysemityzm błędami samych Żydów. Właściwy sens swoich wywodów ujawniał przecież w finalnym stwier-

by im tego tytułu oszczędzić, nie ma też powodu — by przytaczać tutaj ich poszczególne sformułowania, które tonem nie odbiegały od znanych komentarzy „The Jewish Chronicle”, a których cechą główną była emfaza w zwrotach i skłonność do łatwych anatematów. To zresztą cechy typowe dla wszystkich wielkich kampanii „Kultury”, gdzie niedobór rzeczowych argumentów zastępowany bywa głośnym krzykiem bądź głośnym lamentem. W swych codziennych akcjach „Kultura” unika podobnych tonacji, świadoma ich krótkotrwałej skuteczności; wielkie kampanie rozgrywane są przecież w sobie tylko właściwym, przeteatralizowanym stylu.

Rejestrując poszczególne akcje i kampanie „Kultury”, charakteryzując różniące je odcienie w stylu realizacji — nie wolno przecież zapominać o rzeczy nadrzędnej, wyznaczającej kolejnym przedsięwzięciom „Kultury” ich rzeczywistą hierarchię: ważniejszym było to, co

dzeniu: „żydowski inteligenci, ocaleli dzięki solidarnej pomocy Polaków, ratują ten kraj, ten lud ukazując mu perspektywę egzystencji w socjalizmie, których sam by nie dojrzał — zbyt był na to zagubiony w swej historycznej drugorzędności, zacofany w swych wiejskich opłotkach” (*Widziane z góry*, Paryż, 1967, s. 175). Całość obrazu dopełniał zaś Witold Jedlicki, atakując z furją w swych *Żydach i Chamach* część obywateli polskich narodowości żydowskiej za „tendencje asymilatorskie”. Szkice Jedlickiego to już syjonizm w najczystszej swej, agresywnej formie. Pod etykietką „Kultury” rozpowszechniał go Jedlicki w licznych odczytach, jakie wygłaszał w klubach emigracji londyńskiej i amerykańskiej, a także przed mikrofonami „Wolnej Europy”.

boleśniej uderzało w Partię. Stąd szczególna uwaga Maisons-Laffitte koncentruje się na działalności tej grupy partyjnych filozofów, ekonomistów i socjologów, których rewizjonistyczna postawa miała się zdekonspirować do końca dopiero w pamiętnych dniach marcowych. Na razie Bauman, Kołakowski, Brus, Pomian domagają się jeszcze dla siebie nazwy marksistów; mianują „naukowym obowiązkiem” swoją predylekcję do rewidowania podstawowych tez marksizmu-leninizmu. Potrafią zmylić wielu w Polsce, nie przejawiają też większego zainteresowania nimi specjalistyczne periodyki Zachodu. „Poza Zbigniewem Jordanem na łamach »Kultury« — żalił się Mieroszewski — nikt nie podjął dyskusji rewizjonistycznej. Dyskusję taką, gdyby się toczyła, śledziliby z uwagą rewizjoniści w krajach Europy wschodniej i nie tylko rewizjoniści. Przecież rewizjonizm oferuje pokojowe ewolucyjne przejście od totalizmu do demokracji”. Za to aktywność samej „Kultury” w propagowaniu wschodnioeuropejskiego rewizjonizmu była istotnie imponująca. Tu doktryna „rozumiekczenia” miała wyrazić się najpełniej, obiektem natarcia było przecież centrum newralgiczne całego atakowanego systemu: idea Marksa, Engelsa, Lenina. Idea, której wspomniany tu już Zbigniew Jordan, komentator filozoficzny „Kultury”, odmawiał prawa nawet do nazwy nauki. „Jedną z tez podstawowych marksizmu-leninizmu — pisał — było zniesie-

nie różnicy między światopoglądem i filozofią. Filozofia, a także nauka są w marksizmie-leninizmie podporządkowane światopoglądowi. Najogólniejsze i sporne przekonania o świecie, człowieku, społeczeństwie, życiu, jakie stanowią dziedzinę wiedzy o najbardziej wątpliwej wartości poznawczej, marksizm-leninizm traktuje jako wiedzę najpewniejszą i ostateczną, punkt wyjścia i kanon oceny wszelkiej filozofii i każdej nauki”. („Kultura” nr 141/1957).

Publikacje dzieł Leszka Kołakowskiego, Bronisława Baczko, Adama Schaffa stawały się w tej sytuacji ważkimi argumentami. Podobny był to zakres wątpliwości, podobna niechęć do „monizmu ideologicznego”. Jordan ogłasza więc „filozoficzną antropologię” Kołakowskiego za „próbę rozwinięcia marksizmu bez polityki”, podkreśla też z uznaniem wartość polskich prac o alienacji jednostki w społeczeństwie socjalistycznym. Bowiem „w państwach komunistycznych, zgodnie z tezą Feuerbacha — zdetronizowano wprawdzie Boga, lecz bynajmniej nie zdetronizowano człowieka. Intronizowano nieomylną partię. Zmieniono system własności rozkuwając robotnika z kajdan kapitalizmu. Lecz równocześnie ową wolność od kapitalizmu skrepowano taką ilością nakazów i zakazów, że nikt nie poczuł się wolniejszy (...) Obalenie systemu kapitalistycznego nie niweczy automatycznie alienacji we wszystkich jej przejawach” („Kultura” nr 204/1964). Re-

cenzuując poszczególne publikacje krajowe, za każdym razem akcentuje się w nich takie rękome pozytywy, które w podtekście niosą przeświadczenie o uwiądzie marksizmu jako nauki; z kolei w pracach polemizujących z rewizjonizmem podkreśla się rzekomą drugorzędność elementów poznawczych w stosunku do politycznego uylitaryzmu, narzuconego jakoby filozofii marksistowskiej przez rządy i partię. Za inicjatora takiego „wyrodnienia” marksizmu uznany został sam Lenin, który „zamiast czekać na stopniowy, naturalny rozwój bytu społecznego, na dojrzewanie bytu, chciał ten proces świadomie przyspieszyć w sposób sztuczny” (Wiktor Sukiennicki, *Kolombowy błąd*, Paryż 1959). Takie zainteresowanie rewizjonizmem filozoficznym posiadało, jak widać, całkowicie prozaiczny sens: przydawało argumentów do rewizjonizmu politycznego. Ostatni termin wołał co prawda Juliusz Mieroszewski określać bardziej umownym mianem — ewolucjonizm. Taki też tytuł nosi jego podstawowe studium polityczne.

„Ewolucjonizm”... Nauka prosta, choć Mieroszewski starał się ozdobić ją sztafajem historyzoficznych naddatków i myślowej ornamentyki. Nie te ornamenty przecież decydowały o jej oryginalności, lecz właśnie instruktażowa zwięzłość generalnego wywodu: brak nadziei na zwycięski konflikt militarny każe szukać innych dróg zniszczenia bloku państw socjalistycznych. Skoro władze w tych państwach

sprawują partię komunistyczne, należy zainicjować proces rozsądzania tych partii od wewnątrz. Wykorzystując istnienie w partii (dopuszczalnych w myśl zasad demokracji wewnątrzpartyjnej) pewnych różnic poglądów, należy doprowadzić do ich intensyfikacji, by w sztucznie wyolbrzymionej atmosferze wad doprowadzić do, choćby częściowej, światopoglądowej dezintegracji partii. W dyskusjach wewnątrzpartyjnych należy popierać grupy najmniej pryncypialne, należy stawiać na rzeźników walki z dogmatami, na skłoną — z natury — do nieprzemysłanej buntowniczości młodzieży, te siły rokują — zdaniem Mieroszewskiego — największe nadzieje na stopniową ewolucję charakteru władzy, na odchodziie od założeń marksizmu-leninizmu, na uleganie magii pseudodemokratycznych frazesów, a w konsekwencji mogą nawet doprowadzić do roztopienia się kierowniczej funkcji partii...

*

Aż nadszedł marzec 1968 roku. Zespolony wokół partii, naród polski przekreślił jeszcze raz rachuby ewolucjonistów z Maisons-Laffitte. Mieroszewskiemu do jego westchnień nad niedoszyłym do skutku sojuszem Warszawy i Bonn doszedł nowy wątek: „Dziś nie ulega najmniejszej wątpliwości, że przeceniliśmy polskich rewizjonistów marksistowskich (...) Tak rewizjoniści jak i opozycja niemarksistowska nie mieli żadnego programu. Program miał tylko Gomułka i jego ludzie” („Kultura nr 246/1968).

KRAJ RYNSZTOKIEM PŁYNĄCY

Epilog wydarzeń marcowych w Polsce był kolejnym krachem nadziei i koncepcji „Kultury”. Gdybyśmy przecież ograniczyli się do tego stwierdzenia, przyznalibyśmy tym samym pośrednio rację publicystom emigracyjnego Londynu (np. Ciołkoszowi, Pragierowi, Zarembie), którzy od lat polemizowali z „Kulturą”, zarzucając jej polityczną krótkowzroczność, przeceńnianie wpływów rewizjonistycznych, niebezpieczeństwo wchodzenia w alianse z jakimikolwiek siłami w Kraju etc. Nam zaś idzie nie o udokumentowanie subiektywnych błędów w taktyce „Kultury”, lecz o zdefiniowanie jej obiektywnej funkcji ideowej. Funkcji szkodliwej nie tylko dla socjalizmu w Polsce, ale również dla samej Polski, jeśli w takim sylogizmie można by uznać Polskę za wartość nadrzędną. Otóż, właściwy charakter ideowej funkcji „Kultury” staje się oczywisty, jeżeli opisywany dotąd mechanizm zabiegów, stosowany wobec potencjalnego czytelnika w kraju, zestawić z mechanizmem zabiegów, których przedmio-

tem miał być czytelnik emigracyjny. Wraca zatem do naszych rozważań, zasygnalizowany na początku książki, problem dwóch adresatów, tak przecież zróżnicowanych politycznie, środowiskowo, psychologicznie. Oczywiście, „Kultura” stara się o zachowanie pozoru janusowej jednolitości. Istnieje przecież kompleks spraw, gdzie taka jednolitość jest praktycznie niemożliwa i gdzie redakcja zdecydowała się na jeden wyraźny adres czytelniczy. Pobudki takiej decyzji staną się zrozumiałe, gdy nazwiemy ów kompleks: to, poddany obróbce literackiej fikcji, obraz współczesnej Polski. Tutaj trudno godzić wymogi rzetelności opisu (które by go uwierzytelniały w oczach czytelnika krajowego) z wymogami propagandowego oddziaływania na czytelnika emigracyjnego (który opis „Kultury” konfrontować może jedynie ze wspomnieniami sprzed lat). Potrzeby propagandy na własne podwórko przeważały, gdyż i racje tej propagandy zdawały się górować: od Października wznagał się na emigracji proces „bezkrytycznego solidaryzowania się na odległość ze zmianami, zachodzącymi w kraju („Wiadomości”, nr 635, 1958). „Kultura” mogła różnić się od Andersa, Ciołkosza, Zaremby swą taktyką, ideologia obu grup była przecież wspólna. I „Kultura”, nie zaprzestając swej taktycznej kokieterii wobec kraju, zaczyna go jednocześnie atakować wprost, poprzez fabrykowanie na swych łamach obrazu rzekomej Polski współczesnej.

Człowiekiem, który w księgozbiorze Instytutu Literackiego obraz tej Polski miał kształtować, stał się przede wszystkim Marek Hłasko. Dla emigrantów — rzecznik prawdy, bo świadek wydarzeń; dla ewentualnego czytelnika krajowego — pisarz owiany wspomnieniem *Pierwszego kroku w chmurach*; dla samego wreszcie Giedroycia — partner idealny, bo i bez skrupułów, i bez przekonań. Do tego ostatniego Hłasko przyznaje się zresztą otwarcie: „Jeśli o mnie chodzi, nie mam nic przeciwko *commies*. Tak długo, jak oni popełniają świństwo, a ja mogę o tym pisać — wszystko jest dla mnie o.k. Jestem tylko świadkiem w procesie oskarżenia: sprawa jest dla mnie obojętna, byleby proces był ciekawy. To wszystko. Życie, które mi dano, jest tylko opowieścią, ale jak ja ją opowiem, to już moja sprawa. Jedynie o to mi chodzi”. (*Piękni, dwudziestoletni*, Paryż 1966, s. 13).

Mamy zatem motto hłaskowej opowieści o Polsce, równie prosty jest tej opowieści mechanizm. Najłatwiej uchwytne jest on właśnie w *Pięknych, dwudziestoletnich*, gdzie pozor fabularyzowanego pamiętnika pozwala Hłasce spletać prawdę z fałszem w węzeł niemal idealny. Podaje daty, imiona, nazwiska, podbudowuje je informacją, kto z kim i za ile. Ta powaga, z jaką autor celebrował swoją grę w pozory, osiąga momentami wymiar groteski: „milicjant, który mnie przesłuchiwał w bazie samochodowej, nazywał się... „na bokserki

mecz wszedłem na gapę dnia...” Groteska ma przecież cel bardziej serio, milicjant zamienia się w partyjnego działacza, mecz w redakcyjną konferencję. Jeśli pierwsze informacje brzmiały prawdziwie, trudno niby wątpić w prawdę drugich: Putrament staje się więc głupawym propagandzistą, Wilhelm Mach skalany łózkową plotką, Broniewski — sprowadzony do rozmiarów genialnego maniaka, którego nie obchodziło życie, bo ładniej mu się pisało o legendach. Jeśli w *Pięknych, dwudziestoletnich* ogranicza się przy tym Hłasko do rozrachunków z własnymi kompleksami środowiskowymi, to w pozostałych swoich książkach: *Cmentarzach*, *Sowie*, *córce piekarza* występuje z totalną wizją Polski pod rządami komunistów. Jest to wizja istotnie przerażająca. Zakłada bowiem powszechny zanik norm moralnych. Oczywiście jest to wizja zakłamaną, co przyznają nawet niektórzy emigranccy recenzenci książek Hłaski, ale nie o to chodzi. Jest ona wystarczająco sugestywna i zaspokaja określone oczekiwania. Stanowi dokument wiedzy o Polsce, który obowiązuje na emigracji. Obowiązuje, gdyż jest jedyny. Obowiązuje, ponieważ poza zaufaniem do rzekomych faktów gra na jego korzyść również stara zasada irracjonalnego podziwu, jaki zawsze odczuwał spokojny *bourgeois* do autora — awanturnika. Zwłaszcza, jeśli awanturnik daje do zrozumienia, że nie są mu obce i wyższe ideały. Ten dar ma zaś Hłasko w stopniu tak doskonałym,

że nie boi się nawet własnego cynizmu: „Poszedłem do konsulatu amerykańskiego w Palermo, kiedy zaczęli się kotłować w Wietnamie i poprosiłem o prawo wstąpienia do armii amerykańskiej i wysłanie mnie na wojnę. Wyjaśniono mi, że mogę pojechać tylko w jednym wypadku: jeśli dostanę wizę emigracyjną i wstąpię do armii amerykańskiej na terenie USA. Chciałem dać tylko swoją krew, ale i ta nie była dość dobra dla gwiazdzistego sztandaru” (*Ibidem*, s. 98).

Czytelnik emigracyjny skłonny jest połowę faktów, opowiadanych przez Hłaskę, zapisać na karb bujnej imaginacji pisarza; drugiej połowie zaczyna wierzyć. I zaczyna wierzyć nastrój, który doń przesiąka z kart książki. Że w Polsce za opowiadanie dowcipów grozi kara zsyłki, że ludzie idą spać niepewni, czy nie obudzi ich nocna rewizja, że jedyną chwilę wytchnienia gwarantuje im knajpa i wizyta u prostytutki. Swoistym dopełnieniem prozy Marka Hłaski są memuary drugiego z tych, co „obrali wolność”, Leopolda Tyrmanda, raczącego swych czytelników sensacyjkami o nihilizmie i degrengoladzie polskich środowisk inteligentkich. Swoistym dopełnieniem jest powieść Tomasza Stalińskiego *Widziane z góry*, karykaturująca obraz życia politycznego w Polsce, pełna paşkwilanckich ataków na niektórych przywódców naszego kraju. Staliński kreśli kafkowską wręcz wizję mechanizmu rządzenia, w którym faktyczna wiedza, oddanie

sprawom Polski i socjalizmu nie mają żadnej wartości; wszystkim rządzi fałsz, donos, intryga. Jest to przy tym kafkowski mechanizm, sterowany przez małych ludzi, którzy nawet intrygi partaczą, a donosy piszą z błędami ortograficznymi. Znamienne *notabene*, że w opisie polskiej „nowej klasy wyzyskiwaczy” nie zapomina Staliński o barwach cieplejszych dla grupki „światłych opozycjonistów”, próbujących podjąć beznadziejną walkę z immanentnie złym systemem. A jako że powieść *Widziane z góry* skonstruowana jest na dość przejrzystej zasadzie „opowieści z kluczem”, wśród tych „sympatycznych opozycjonistów” łatwo można odgadnąć kilka eks-prominentów, których marcowe wydarzenia zmiotły z areny życia politycznego Polski. Polski, która dla Stalińskiego jawi się jako partackie repetytorium z Kafki, dla Hłaski jako zapijaczony rynsztok, dla Tyrmanda jako rozplotkowany dom publiczny.

Listę tych powieściowych obrazków można by mnożyć: jest jeszcze przecież George J. Flemming (Jerzy Działak) autor *Polski mało znanej* oraz *Czym to się je?*, jest Piotr Guzy, autor *Stanu wyjątkowego* oraz *Krótkiego żywota bohatera pozytywnego*, są przeróżne, pomniejsze Grube Maćki (anonimowy autor opowiadania *Plaża*, zamieszczonego w 246 numerze „Kultury”). Opisywanie tych utworów byłoby przecież czynnością bez sensu: jednolita czerń barw obowiązuje wszędzie, cieniowana

jedynie mniejszym bądź bardzo małym talentem poszczególnych autorów. Bez sensu byłoby również mówienie o samych autorach: jeden z nich uciekł z Polski, zostawiając żonę bez środków do życia, drugi zmalwersował społeczne pieniądze. Po cóż przecież penetrować życiorysy grafomanów? Ich nieistniejący talent jest i tak elementem wtórnym w całej grze, w której liczy się wyłącznie określony nacisk na podświadomość czytelnika; celem tego „pisarstwa” jest budzenie odruchów warunkowych, nie ambicja kreowania artystycznej metafory. O intelektualne ambicje posadzać, wśród tych opisywaczy *quasi*-Polski, można było jedynie Miłosza, gdy 1951 roku opublikował swój *Umysł zniewolony*.

Był to perfidny donos na ojczyznę, ale donos wykaligrafowany artystycznie. Nie należy przecież zapominać o jednej zasadniczej odmienności sytuacyjnej: stawka w całej grze. Stawką była osobista pozycja Miłosza, którą chciał wywalczyć sobie na Zachodzie. Książką tą rozpoczynał swoją karierę zdrajcy. Karierę zdrajcy, który odmiennie niż Światło czy Tykociński mógł handlować u obcych jednym tylko towarem: własnym talentem. Jego *Umysł zniewolony* to paszkwilanka biografia czterech, czołowych wówczas pisarzy polskich. Nie było w niej przecież nic z uwierzytelniających przewód plotek, nie było nawet nazwisk bohaterów, a polskość opisywanych sytuacji zredukowana została do wymiarów mglistego

ła. Czesław Miłosz rozpoczął swój handel *va banque*. Plotki czyniłyby zeń tuzinkowego skarżypytę; on chciał pozostać pisarzem-moralistą; nadmierny akcent na polskość mógł sugerować moralistę lokalnego; on marzył o pozycji europejskiej; rozszyfrowanie wreszcie nazwisk owych *Alfy, Bety, Gammy* i *Delty* określałoby *Umysł zniewolony* jako książkę o nich, a miała to być książka zupełnie o kim innym. Nie o czterech konformistach, ale o jednym bohaterze. Nie o Andrzejewskim, Borowskim, Putramencie, Gałczyńskim, lecz o Czesławie Miłoszu, o sprawiedliwym, który się nie poddał: o samotnym, który podjął walkę przeciw totalnemu zakłamaniu. Bo pamiętajmy: w 1951 roku nie ogłosił Waszyngton jeszcze swej dyspensy dla rewizjonistów. Szansą dla zdrajców była nie sama umiejętność w opluwaniu eks-rodaków, lecz raczej — udowodnienie własnych praw do miejsca w zachodnim systemie cywilizacyjnym. *Umysł zniewolony* ogłosił Miłosz po szwedzku z przedmową Karla Jaspersa. Potem ukazały się edycje: angielska, amerykańska, kanadyjska, zachodnioniemiecka, francuska i włoska. Dopiero wśród nich polska, nakładem „Kultury”. *Notabene* druga emigracyjna książka Miłosza *La grande tentation. Le drame des intellectuels dans les démocraties populaires* wychodzi w 1951 roku jedynie po francusku, bez wersji polskiej!

Odmiennność stylu antypolskich książek Mi-

łosza wypływa zatem z odmienności sytuacji, w jakich one powstają. I ta odmienność nie wywyższa Miłosza, ona po prostu jeszcze bardziej poniża tych, którzy dla celów antynarodowej, codziennej agitacji rezygnują już nie tylko z poczucia patriotyzmu, nie tylko z obowiązującej artystę wierności wobec prawdy, ale nawet z pisarskich ambicji, jakich np. Markowi Hłasce w początkach jego kariery odmówić było nie sposób.

Publicyści „Kultury” lubią powtarzać, że celem działalności ich pisma jest dobro Polski. Że — co więcej — potrafią ocenić obiektywnie te poczynania władzy ludowej, które owo dobro pomnażają. W roku 1953 rozpisali nawet ankietę pt.: „Które z przemian w Polsce są nieodwracalne?”, gdzie opowiedzieli się za reformą rolną i nacjonalizacją kluczowych gałęzi przemysłu, zaakceptowali dorobek rządów socjalistycznych w zakresie urbanizacji i industrializacji kraju. Po latach komentował cel i skutki tej ankiety Juliusz Mieroszewski: „W owym okresie, dzięki niezmiernie licznym spotkaniom z Polakami krajowymi, zdaliśmy sobie sprawę ze zmian w postawie społeczeństwa polskiego (...) Jest oczywiste, że proces przekształcania kraju rolniczego w kraj przemysłowo-rolniczy — niezależnie od ideologii i polityki — powodować musi różnorakie przemiany w postawach ludzkich. Ponieważ Polacy na emigracji nie brali udziału w tym procesie — ich postawy nie uległy zmianie. Stąd hasło obowiązują-

ce do dziś, że «Polacy się nie zmienili». Polacy jako naród i społeczeństwo zmienili się znacznie. W pewnych dziedzinach na lepsze, w pewnych dziedzinach na gorsze” („Kultura”, nr 246, 1968). Stwierdzić wypada, że w tym najbardziej sugestywnym zapisie faktów, jakim jest literatura, autorzy „Kultury” przekazali swoim czytelnikom jedynie połowę tej prawdy, którą sami uznali przecież za własną; wypadły im z pola widzenia owe „zmiany na lepsze”. Skłamlali nawet sobie samym, namalowali posępną karykaturę w miejsce Ojczyzny.

Cóż, Polsce Hłasko nie zaszkodzi, nie jest również w stanie oduczyć polskiego społeczeństwa postawy patriotycznej. Stawką w tej żalosnej grze są, co najwyżej, jednostki.

W tymże numerze „Kultury”, w którym Mieroszewski tłumaczy się z dawnej ankiety, znajduje się relacja Andrzeja Lubelskiego pt.: *Konsument to ja*. Autor, jakoby urzędnik Zarządu Miejskiego w Radomiu, uwierzył, że żyje w Polsce namalowanej wokół niego przez Marka Hłasko. Poprosił o azyl w Niemczech zachodnich, ma niemiecką żonę, niemiecki sklep z towarami kolonialnymi, kupił sobie bazaltowy grobowiec na niemieckim cmentarzu. I pisze: „Tutaj za Boga nie ożeniłbym się z Polką, za granicą to koniec. Człowiek staje się obcy dla otoczenia, włazi w polski kocioł, z którego nie ma wyjścia. Na co mu to potrzebne? Przecież ci ludzie bez przerwy się kłócą, nawet w swoim własnym piśmie; rozsyłają je za dar-

mo, bo nikt by nie kupił. Drętwe, jakby się bali, że od wesołego słowa ich orłu korona z głowy spadnie. Na co dzień ci patrioci handlują zegarkami, a w niedzielę bawią się w nieuznawanie rzeczywistości — z podobnym wynikiem. Żyją myślą powrotu do Polski; kiedy się zmieni, oczywiście. To bezsens ustawiać całe swoje życie pod kątem tak mało prawdopodobnej możliwości. Nie rozumieją, że negacja rzeczywistości to negacja życia. Nie potrafią się przystosować — biedni ludzie.

U nas w domu nie rozmawiamy po polsku ani moje dzieci nie uczą się polskiego. Szkoda czasu, ten język nikomu niepotrzebny. Nasze nazwisko przerobiłem na łatwiej wymawialne, bo mamy stale kłopoty, a to taka drobnostka. Staram się też nie przypominać, że Polacy to Słowianie, ta nazwa budzi niekorzystne skojarzenie w językach europejskich. Za to do Polski bardzo chętnie jeździmy, oczywiście od czasu, kiedy dostałem niemieckie obywatelstwo.

Czekałem na nie z niecierpliwością: latami pobytu i uczciwej pracy wysłużyłem sobie miejscówkę w nowym społeczeństwie. Trochę mi przykro, że zostałem akurat niemieckim obywatelem — tak się złożyło, nie miałem wyboru. Za to wreszcie przestałem być człowiekiem z poczekalni, w końcu gdzieś należę."

Opowieść rzekomego Andrzeja Lubelskiego to przecież coś więcej niż relacja o karykaturalnym odzewie na pisarstwo Hłasków. To niezamierzona *pointe'a* dla działalności całej „Kul-

tury". W tym ciągu faktów (zdrada kraju — mała stabilizacja — zdrada własnego człowieczeństwa) konkretyzuje się praktyczny model życia, ku któremu steruje jej „filozofia polityczna". Nie wykluczam, że steruje nie w całej pełni świadoma kształtu swego ideału. W polityce przecież liczą się jedynie fakty, a w filozofii fakty podporządkowuje ponadto beznamiętna logika.

PRÓBA REKAPITULACJI

Publicyści „Kultury” lubią z masochistycznym uporem powtarzać, że propaganda krajo-
wa nie potrafi przeciwstawić im nic, poza wy-
myślaniem od „płatnych agentów”. Nie wy-
myślam Mieroszewskiemu, Giedroyciowi, Stem-
powskiemu, Herlingowi-Grudzińskiemu. Nie
rozpamiętuję publicznie, kto też im płaci czy
ile im płaci. A mógłbym — zadowolając ich
masochizm lub ich cynizm — sprowadzić dy-
skusję o „Kulturze” do rejestru pytań niedys-
kretnych. Dla przykładu: dlaczego oficjalnym
korespondentem i reprezentantem „Kultury”
w Niemieckiej Republice Federalnej (a zatem
na odcinku dla sprawy polskiej szczególnie od-
powiedzialnym i ważkim) jest akurat Włady-
sław Stefan Kozłowski? Człowiek, którego całe
życie świadczy o bardzo osobliwym rozumieniu
interesów Polski. Były szef II Oddziału NSZ.
Na początku roku 1945 — po porozumieniu
Brygady Świętokrzyskiej NSZ z Niemcami —
został przewieziony do Pragi czeskiej, gdzie
otrzymał od gen. Guderiana propozycję werbo-

wania członków NSZ do walki z Armią Czer-
woną. Wojna jeszcze trwała, znaczna część Pol-
ski znajdowała się jeszcze pod hitlerowskim
zaborem, ale Kozłowski udaje się do obozu w
Murnau, celem przeprowadzenia swej kolabo-
racyjnej (zakończonej zresztą całkowitym nie-
powodzeniem) misji. W 1946 roku prowadzi
ośrodek szpiegostwa amerykańskiego, skiero-
wanego przeciw Polsce, w Regensburgu, na-
stępnie w Monachium, gdzie mieszka do chwili
obecnej, współpracując tam z instytucjami,
których nastawienie dla interesów polskich jest
jawnie wrogie, a wrogość ta nie jest ukrywa-
na: *Arbeits Ostfragen c. v. München (Polen
und Deutsche als Nachbarn)*, niemiecka sekcja
„Europa Union”, Instytut d/s Europy Wschod-
niej w Tübingen etc, etc. I ten oto jawny szpieg
i jawny zdrajca jest oficjalnym rzecznikiem
„Kultury”, czyni w NRF zabiegi w sprawie
wydawania tego pisma również w języku nie-
mieckim. Dlaczego on? Przecież w tymże Mo-
nachium mieszka np. inny autor „Kultury”, pi-
sarz Tadeusz Nowakowski, którego antykomu-
nizm wydaje się równy antykomunizmowi Mie-
roszewskiego, a w dodatku poświadczony zo-
stał etatem w polskiej sekcji RWE. Więc dla-
czego nie np. Nowakowski? Może dlatego, iż
Nowakowski, krytycznie ustosunkowany do
rzeczywistości polskiej, jednocześnie występuje
ostro przeciw wszelkim przejawom neofaszyz-
mu w NRF, czemu dał wyraz m. in. w swym
głośnym artykule pt. „*Kain w nowym mercede-*

sie — rzecz o pornografii politycznej w ojczyźnie Goethego — czy naprawdę „wiele hałasu o nic”? („Dziennik Polski i Dziennik Żołnierza”, 6.II.1960).

Jak widać, byłoby o co pytać Mieroszewskiego, Giedroycia i innych. Nie pytałem. Starąłem się uporządkować materiał, który dowodzi, że ich działalność nie służy interesom Polski, że interesom tym jawnie szkodzi. „Kultura” stanowi bowiem jedno z bardziej aktywnych ognisk propagandowych w systemie wielkiej dywersji, jaki przeciw Polsce i pozostałym krajom socjalistycznym zbudował Pentagon. Sternikami tego systemu są Walter Rostow, Zbigniew Brzeziński, William Griffith. Ostatni z wymienionych właśnie na łamach „Kultury” pisał: „Stany Zjednoczone winny przyjąć politykę, którą można by określić mianem pokojowego zaangażowania się w Europie Wschodniej. Polityka ta winna dążyć do wspomagania procesu powstawania rozbieżności w bloku socjalistycznym”.

Naturalną konsekwencją narastania owych rozbieżności mogłyby być jedynie rozpad systemu socjalistycznego w krajach Europy Wschodniej. Tego celu Griffith nie ukrywa, choć go ze zrozumiałych względów i nie akcentuje. Co taka perspektywa niosłaby dla Polski? Zagrożenie jej suwerenności, jej żywotnych interesów państwowych, jej bytu narodowego. Trudno dziwić się Griffithowi, że nie wykazuje większego zainteresowania dla naszych obaw, co prze-

cież powiedzieć o miesięczniku, który mieni się być miesięcznikiem polskim!

Nie ma jednakowoż ani jednej akcji, której inicjatorem byłby Waszyngton czy Bonn, czy ostatnio Tel Awiw, a której „Kultura” odmówiłaby poparcia. Celem jej systematycznych ataków jest braterska jedność działań komunistów w świecie, braterski sojusz Polski z ZSRR, proces integracji państw socjalistycznych w ramach Układu Warszawskiego i RWPG, szczególnie znaczenie Niemieckiej Republiki Demokratycznej dla zapewnienia pokojowej równowagi sił w Europie. Z drugiej zaś strony nie było jednego przypadku, aby „Kultura” nie wyolbrzymiała gospodarskich kłopotów władzy ludowej, szczególną uwagę rezerwując dla wydarzeń w zakresie frontu ideologicznego. Jej pupilami stają się kolejne primadonny kawiarnianych sezonów: Hłasko, Kisielewski, Kołakowski, Grzędziński, Kuroń, Modzelewski, Tyrmand, Szpotański, Antoni Zambrowski, Jasienica. Z równym zapalem mówi o pisarzach i o grafomanach, z równym zacietrzewieniem broni ogłupionych i zdrajców. Operuje plotką, insynuacją, potwarzą. Propaguje rewizjonizm, pracuje nad „erozją komunizmu”, zachwala Bonn. Tłumaczy niestrudzenie, że zjednoczenie Niemiec w oparciu o koncepcje dominacji NRF ma być zgodne z polską racją stanu: a wystarczy przeprowadzić elementarną analizę potencjału gospodarczego tak zjednoczonych Niemiec, by zrozumieć wpływ tego faktu na zmia-

nę układu sił w Europie na niekorzyść Polski. A obok tego „humanizacja” socjalizmu w Polsce — co ma oznaczać otwarcie polskich granic dla destrukcyjnego importu zachodniej *mass culture*, dla drenażu ekonomicznego; przykład wydarzeń czechosłowackich stanowi tu wystarczający komentarz. Oślawiona filozofia polityczna „Kultury” sprowadza się do moszczenia drogi dla ekspansji imperializmu w naszej ojczyźnie.

TREŚĆ

Wprowadzenie	9
Europa Zjednoczona, czyli kwestia dwu są- siedztw	27
Ewolucjonizm (od Października do Marca) . .	53
Kraj rynsztokiem płynący	74
Próba rekapitulacji	86

Cena zł 5.-